



Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — (W tej summie mieści się cena pisma, porto i opakowanie) w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Tam daleko (Wiersz). — Z poranków literackich w Paryżu. — Młot i kowadło, Romans w trzech częściach Fr. Spielhagena przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński. — Korespondencja z Paryża. — Pogadanki naukowe z dziedziny optyki i światła. — Kilka nowszych niemieckich powieści, ze względu na ich stosunki ze stanem społeczeństwa. — Natalja Borisowna Dołgorukowa powieść p. Furmanna. — O Ubiorach.

Tam daleko.

z Grenier'a.

Tam daleko u stóp wzgórza,
Kwitnie na uboczu,
Koło rzeczki dzika róża
Cudnież pieści oczy!

Powiedz blada różo dzika,
Powiedz wonny kwiecie,
Czy przed ręką podróżnika
Uchronisz się przecie?

Tam daleko nuci w lesie
Ptaszek złotogłowy,
Dźwięk piosenki rosa niesie
W górę pod niebiosa.

O! nie śpiewaj ptaszku dłużej
Obejrzyj się przecie,
Czy gniazdeczka ci nie zburzy
Jakie psotne dziecię.

Tam dziewczeczka zdala świata,
Wzniosła modre oczy,
Uteśkioną myślą wzłata,
W kraj dumań uroczy.

Chwile ulud w lot przepłyną
Ah! powiedz mi przecie,
Komu ręka twa dziewczyno
Ślubny wianek splecie.

Tam daleko w nocy cieniu
Świeci gwiazdka mała.
Jakiż urok w jej promieniu
Jakim żarem pała!

Gdy jesienne wioną słoty,
Szeroko po świecie.
Czyż mi błysnie promyk złoty
Przez śnieżne zamiecie.

Seweryna Duchńska.

Z poranków literackich w Paryżu.

UWAGI NAD WERTEREM.

przez Henryka de Lapommeraye.

Wyroki gotowe, to plaga na piśmiennictwo! Znajduje się w obiegu po świecie: *Podręcznik sekretny krytyki*, na użytek ludzi, którzy nie mają czasu lub chęci czytać. Zbiór to frazesów naprzód ułożonych, dla każdego co nie chce zadawać sobie pracy do samoistnego osądzenia. Wszędzie się można z nimi spotykać. W onym języku urzędowym *Tartuf* to komedia dowcipna ale z obrazą religii; *Telemak* utopia szlachetnego umysłu; *Nowa Heloiza* paradoxalny wyrób zblakłego mózgu; *Manon Lescaut* obraz obyczajów oplakanych.

Zdania te na dobre rzucane w rozmowie, robią dobre wrażenie w salonach.

Gdy idzie rzecz o Wertera, na to są dwie formułki. W obec grona osób z moralnymi zasadami, wołają głosem piorunującym pogardy: „Werter, to uczczenie samobójstwa!“ A znów między ludźmi, którym głównie idzie o artystyczną stronę, mówi się z lekceważeniem: „To sentymentalność niemiecka!“ I oto wydany wyrok stanowczy i nieodwołalny.

I odtąd ze wszech stron słyszeć się daje powtarzanie, że Werter jest niegodziwą książką. Z trzech pokoleń, które przeżyły z kolei od początku naszego stulecia, pierwsze jak mówią, odbierało sobie życie po przeczytaniu tego romansu, drugie znalazło go nudnym i ekliwym, trzecie już wcale go nie czyta, na pamięć tylko głosi, że to dzieło niemoralne, pełne fałszu.

Lecz czy przy bezstronnem i sumiennem odczytaniu i rozbiorze, okaże się ono nudnem, czy da się w niem upatrywać dążność niemoralna, a tem bardziej fałsz? — spróbujmy.

Już za pierwszym ukazaniem się Wertera w r. 1774, (któżby powiedział że to tak stara książka?) większość krytyków zwróciła uwagę jedynie na rozwiązanie dramatu, na samobójstwo, a nie w tem zaiste leży główne zadanie dzieła.

Wiadomo że Gete odmalował samego siebie w pierwszej części Wertera, druga zaś jest opowieścią o miłostkach pewnego młodzieńca nazwiskiem *Jeruzalem* z żoną jakiegoś niemieckiego rady.

Dla autora zatem zakończenie było dodatkiem drugorzędnym, a głównem założeniem opis własnych uczuć z ową epoką swojego życia. Jest to więc prze-

cudowna geneza miłości, rozważanie tej choroby duszy, analiza jej pełna prawdy i trafności poglądu.

Dla przekonania się spróbujmy streścić dzieje uczuć Wertera dla Szarloty.

W jakim usposobieniu umysłu i ducha znajdował się Werter w chwili gdy ją poznał? gdyż godzina poprzedzająca wywiera potężny wpływ moralny na obecną chwilę.

„Dziwna to rzecz, mówimy nieraz że tak nagle rozplamienilo się ogromne uczucie w sercu owego młodzieńca lub owę młodą kobietę!“

A jednakże niema w tem nic dziwnego, tylko że my krótkowidze moralni, nie dojrzeliliśmy stanu tych dusz poddanych od dawna ukrytym wpływom, które usposabiają do pokochania.

Tak pożar tli niepostrzeżony przez kilka godzin, zanim wybuchnie płomieniem nagłym a ogromnym.

Tak miłość się objawia, gdy spotka przedmiot do którego może się rozplamienić.

Tak nam się przedstawia Werter. W duszy jego próżnia i niespokój; goni za ideałem.

Młodzieniec uciekł daleko od domu, w którym zajęło się nim serce młodej dziewczicy przez niego niekochanej. To pierwszy rys prawości w tym charakterze. Oprócz tego śmierć mu zabrała przyjaciółkę miłości, do której wielce był przywiązany. Szuka w wiejskiej ciszy ulgi na swoją boleść, widok przyrody zachwyca go i unosi.

Tak pisze do swego przyjaciela Wilhelma:

„Jestem sam, otoczony urokiem okolicy stworzonej dla takich dusz jak moja. Tak szczęśliwy jestem, mój drogi, tak zatopiony w uczuciu mego spokojnego życia, iż talent mój na tem cierpi. Nie potrafiłbym narysować ani jednego szkicu, a jednak nigdy nie byłem większym malarzem. Kiedy mgły w dolinie unoszą się przedemną, gdy nad głową moją słońce prostopadłe ciska ogień na zgęszczone sklepienia ciemnego lasu, i tylko kilka śmielszych promieni wkrada się w głąb tej świątyni, kiedy leżąc na ziemi wśród bujnych traw nad strumykiem wynajduję w gąszczu murawy tysiące drobnych nieznanych roślinek, gdy serce moje czuje w pobliżu siebie istnienie maluczkiego światka rojącego się wśród ziela, tej niezliczonej mnogości robaczków i owadów różnokształtnych, gdy odczuwam obecność *Wszech potęg* co nas na obraz swój stworzyła, i tchnienie *Wszech miłości* która nas piastuje i trzyma spływających na falach morza nieskończonych rozkoszy, gdy świat nieskończoności zaświta mi przed okiem, i gdy się niebo w sercu mem odzwierciedla, jakby obraz kochanki, wtenczas westchnienie pierś moją podnosi, i sam w sobie wołam: — Ach gdybyś

mógł wyrazić to co czujesz! Gdybyś umiał wylać i utrwać na papierze tę pełnię i ciepło życia co w tobie płynie, tak ażeby karta stała się zwierciadłem twojej duszy, jak ty jesteś zwierciadłem Boga nieskończonego! Lecz czuję iżbym upadł pozbawiony potęgi i majestatu tych objawień.“

Oto polot duszy Wertera w owiej epoce jego życia. I śmiano go nazwać echem marzycielem? My w nim widzimy myślącego lubownika przyrody.

Nie mam zamiaru przeczyć iżby nasze życie czyni w mieście, nie miało w sobie wielkiego powabu, lecz pozwalam sobie uważać Wertera nie za tak wielkiego cudaka, skoro woli mgły dolin nad wyziewy uliczne, promienie słoneczne nad ognie świeczników i lamp teatralnych, i widok tego maluczkiego światka rojącego się wśród ziela, nad tłumy wielkiego świata tłoczące się w salonach.

Tak więc dusza Wertera usposobioną była do pokochania, kiedy po raz pierwszy ujrzał Szarlotę.

Czegóż było potrzeba aby się miłość ta zrodziła? Może tylko jednego słowa, tego które wyrzekła osoba towarzysząca mu na pierwsze odwiedziny do Szarloty: „Zobaczysz pan ładniutką osobę, mówiła mu towarzysząca, miej się na baczności żebyś się nie zakochał.“

W życiu, wpływ obojętnych na wyrób uczucia większym jest niż się zdaje. Częstokroć dosyć powszedniego żartu, mowy jakiego głupca, albo złośliwej uwagi, żeby się dwoje ócz spotkało, i dwie dusze zrozumiały nawzajem.

Tak uprzedzony Werter wchodzi do domu Szarloty, i tam wzrok jego spotyka najponętniejszy widok, jaki mu się w życiu oglądać zdarzyło.

Sześcioro dzieci od lat dwóch do jedenastu, garnęło się około młodej dziewicy średniego wzrostu lecz wdzięcznej kibici. Miała na sobie skromną białą sukienkę z blade różowemi wstążkami u ramion i piersi. Trzymała chleb razowy i obdzielała kromkami każdego wedle wieku i apetytu. Rozdawała z taką dobrocią, a każde mówiło *dziękuję* z taką naiwnością! Wszystkie rączki były w górze, w miarę jak otrzymywały podwieczorek, jedne skacząc odbiegały, drugie, poważniejsze, szły do wrót dziedzińca przypatrzeć się pięknym paniom i powozowi, który miał im zabrać kochaną *Lotchen*.

— „Przepraszam pana, rzekła mi, żem mu pozwoliła trudzić się na górę, ale mi także przykro że te panie czekają na mnie. Zająłam się ubraniem i rozporządzeniem gospodarstwa na czas mojej nieobecności, a przez to zapomniałam dać podwieczorek dzieciom, one zaś nie chcą żeby im kto inny a nie ja chleb krajał. Powiedziałem jej jakąś grzeczność nie nie znaczącą, a cała moja dusza utonęła w jej twarzy w jej głosie, w jej układzie.“

Otóż scena tak szydersko wysmiana przez nieprzyjaciół Wertera. *Kromki chleba i Lotchen*, cały romans w dwóch słowach! Jak może być zajmującym człowiekiem co się zachwyca krajaniem chleba i zakochany w kobiecie na którą wołają *Lotchen*? Dobre to było przed stu laty, lecz w naszej epoce potrzebujemy typów mniej mieszczkańskich i mniej prozaicznych.

Zaprawdę, słysząc taką mowę sam siebie pytam, czym ja nie usnął z końcem ośmnastego stulecia i nie snuje się po dziewiętnastym z uczuciami o sto lat zacofanemi?

Mnie się podoba to dziewczę młode pielęgnujące drobne siostry braciszek. Jak Werter byłbym zachwycony widokiem tej *dziewicy matki rodziny* co pod ojcowskim dachem odbywa nowicjat zatrudnień, które ją czekają w domu męża. Zdaje mi się równie pociągającym widok tej mieszczki, co chleb kraje z owym niezrównanym wdziękiem, którym kobiety kraszają najpospolitsze zajęcia, jak widok jakiej księżny co przed wyjściem ostatnie zalotne spojrzenie zwierciadłu posyła.

Nie chcę wzmówić w nikogo, iż zalotność nie ma swoich czarów: jedwabie i gazy miłsze dla oka i w dotknięciu od płócienna i bawełnianki. Lecz czuję także woń zająca i uroczą rodzinną atmosferę, i widzę we wdzięcznej *gosposi* z poświęceniem gorliwej i starannej o dobro drugich, poezję nie mniej poruszającą jak ta co wieje od elegantki bezczynnej i niebałej żądnej jedynie pochlebstw i hołdów.

Co się tycze imienia, coś mi się zdaje że nie jednemu z szycerów zdarzyło się ochrzcić przedmiot swoich marzeń mianem zdrobniatem, równie miłośnie — najwnem.

Ale cóż dalej? Werter i Szarlota są na zabawie, rozmawiają o literaturze.

Osoby które Gete wyprowadza na scenę bardzo

wiele o literaturze rozprawiają, — tak powiadano. Nie wydaje mi się to tak bardzo nagannem. Alboż bardziej zajmująca rozmowa nowoczesnych zalotników o pogodzie, o oświetleniu, (rozumie się że salonu) o lodach i cukierkach?

W określeniu uczucia jakie w nim budzi walec z Szarlota, także mieści się wielka prawda. Zrozumie to każdy co kiedy walcował w życiu.

I tu, wśród balu, spotyka Wertera gorzka boleść. Jakaś pani przechodząc koło Szarloty wspartej na ramieniu Wertera, grozi jej paluszkami i dwukrotnie znaczącym tonem wymawia imię Alberta.

Pani ta należy do szkoły ludzi, co to mają najlepsze chęci, a mimo to okropnych jak straszdyło.

— „Któż jest ten Albert?“ rzecze Werter do Szarloty.

— Pocóż bym miała ukrywać? odpowiada ona, Albert jest to zacny człowiek z którym jestem zaręczoną“

Nie było to dla mnie nowiną, bo te panie uwiadomiły mi o tem w drodze, a jednakże myśl ta ugodziła we mnie jakby niespodzianka, gdy potrzeba ją było zastosować do osoby, którą po upływie chwili niewiele tak mocno pokochałem! Zmieszkałem się, mąciłem figury tańca. Szarlota musiała mną wodzić, ciągnąc to w tę to w ową stronę, potrzeba jej było całej przytomności umysłu, aby przywrócić porządek.“

Czyliż epizod ten nie jest pełen głębokiej prawdy. Nie takim-że jest życie. Używasz szczęścia niewysłowionego. Wyobraźnia wzlata z wolna, tracisz z myśli ziemię, zanurzasz się w marzeniu. Raptem, jakiś wypadek, jedno słowo budzi cię i stawia okrutnie w obec rzeczywistości. Szarlota naręczoną. A więc Werter nie ma prawa kochać ją, nie może należeć do niej. Tyle się zawiera w tym jednym wyrazie wylatującym z ust żartobliwych, które się bynajmniej nie domyślają jak srogą zadały ranę. Dla mnie epizod ten jest arcy-dziełem prawdy!

Stało się, Werter rozkochany i szczęśliwy, — tak, szczęśliwy!

(d. c. n.)

MŁOT I KOWADŁO

ROMANS W TRZECH CZĘŚCIACH

Fr. Spielhagena

przełożył z niemieckiego Michał Gliszczyński.

(Dalszy ciąg.)

ROZDZIAŁ XV.

Elegancki powozik, zaprzęzony dwoma paradnemi końmi wiózł mię drogą obok Trantowitz do Rosso-wa. Konie dziarsko biegły, a ja sobie myślałem o księciu, którego pierwszy raz w tak dziwnem położeniu poznałem. Kiedyśmy wjechali w duży gęsty las, konie musiały iść stępo, bo ogromne piaski zalegały drogę. Nie wiele myśląc wyskoczyłem z powozu i piechotą puściłem się naprzód tak szybko, żem i konie i powóz daleko za sobą zostawił. Las był coraz gęstszy, cichość coraz głuchsza. Nagle na końcu lasu, na wysokim pagórku, stanął przedemną śliczny pałacyk ubrany w różne ganki, pokryte bluszczem i dzikiem winem. Był to myśliwski pałacyk księcia. Stary siwowłosy służący, siedzący w ganku, podniósł się szybko ujrawszy mię i z ujmującą grzecznością zapytał się kto jestem? Usłyszawszy moje nazwisko, oświadczył mi że książę pan dawno już mię wygląda. Przeprowadziwszy mię przez przedpokój, przystrojony rozmaitemi bronią i myśliwskimi trofeami, stanął przed przepysznemi à l'antique podwojami. Ukłoniwszy się grzecznie, otworzył drzwi i rzekł:

— Jego książęca mość, kazał pana bez zameldowania wpuścić.

Zrobiwszy kilka kroków w pokoju stanąłem przed księciem. Podniósł się z sofy, na której, jak się zdawało, zasnął czekając na mnie; tak przynajmniej wyglądała jego blada, znużona twarz. Kilka chwil potrzebował żeby się ośwoić z dziwnym między nami stosunkiem.

— A to pan! przebac mi nie mogę nigdy nazwisk pamiętać... Hartig.. Nie! Hartwig, prawda! Jest to

bardzo grzecznie z pańskiej strony, żeś raczył do mnie przyjechać! Wielka uprzejmość! Proszę siadaj. Czy pan pali? Oto cygara, proszę, bardzo proszę.

Usiadł znowu w rogu kozetki i zdawało się że zaśnie bo zamknął oczy. Skorzystałem z tej chwili żeby obejrzeć pokój.

Był to wielki ale nie wysoki pokój wyłożony całym, nawet i sufit rzeźbami z dębowego drzewa. Wszystkie ściany pokryte były portretami mężczyzn i kobiet, które tem więcej imponująco wyglądały, że na nie padało różnokolorowe światło przez szyby jedyne, dużego gotyckiego okna. Meble były także w guście staroświeckim niezmiernie artystycznie odrobione, wyłożone bogatą perłową masą i słoniową kością. Na marmurowym kominku, między dwoma przepysznemi dżbanami z lanego srebra, stał duży zegar, arcydzieło rokoko. Na wielkiej niedźwiedziej skórze przed kominkiem leżał ogromny kudłaty brytan, który podniósł głowę kiedy wszedł, ale ją zaraz na łapach położył. Wielki zegar tykotał głośno, kroki służącego słychać było w przedpokoju. Książę otworzył wielkie, zamglone oczy i rzekł:

— O czym to mówiliśmy?

— My? zapytałem się zdziwiony.

— A prawda! jeszcześmy o niczem nie mówili. Nie byłoby to nic dziwnego gdybym mówił zapomniał! siedzę w tem obrzydliwym gnieździe, jak sowa w dziupli. Nie raz spoglądam na paznokcie czy mi się w pazury nie przemieniły. Co za nudy! Przystąpmy od razu do interesu. Proszę pana, jeżeli mu to nie zrobi subjekeji, przysunąć mi cygara i pociągnąć za dzwonek, tam na lewo.

Zrobiłem czego żądał. Stary sługa wszedł z faszka-wina i dwoma kieliszkami.

— Możesz odejść Józefie. Sami sobie usłużymy.

Stary postawił tacę na stole i oddalił się.

— Racz pan sobie nalać i mnie także! Przepraszam! Przyda się nam to przy suchym interesie.

Ale mu nie spóro szło jakoś. Obglądał starannie paznokcie jakby się z nich już sowie pazury pokazywały, ziewnął i obracając kosztowny sygnet na palcu rzekł:

— Oddawna już życzyłem sobie mieć pana u siebie, musisz wiedzieć że mię los pana bardzo obchodzi.

— Wiem!

— Tak jest bardzo obchodzi! Od czasu kiedyśmy się pierwszy raz spotkali, zatrzymałem pana w pamięci, co mi się bardzo rzadko zdarza. Zdaje mi się że pan jesteś troszkę oryginał i ja niezmiernie lubię oryginałów.

Ukloniłem się i rzekłem:

— Jeżeli pan raczy wysłuchać mię o kopalniach wapna...

— Bardzo mało jest oryginałów! mówił dalej, jakby ja wcale nie przemówił. Bardzo mało! o czym wie najlepiej ten, kto jak ja dużo nawłóczył się po świecie. Pospolita tożsamość! Też same wszędzie stereotypowe twarze, też same stereotypowe manery i ten sam stereotypowy sposób mówienia! Nie wiem czy w całym mojem życiu spotkałem chociaż trzech ludzi, co byli prawdziwymi ludźmi, a nie mechanicznymi marjonetkami. Jednym z nich jesteś pan: drugim stary derwisz któregośm poznał w Jerolimie, i który utrzymywał, że znalazł filozoficzny kamień, ale kamień ten nie wart szukania; a trzecim biedna Konstancya v. Zehren.

Poruszyłem krzesłem i zacząłem mówić „kopalnia wapna którą w. k. mość...“

— Ona była pierwszym pośrednikiem naszej znajomości, mówił dalej — musiał mię nie słyszeć. Jest to bardzo naturalna rzecz, że kiedy pana ujrzałem, i ona zaraz przypomina mi się. Dziwna, niezwykła istota, której natura dotąd jest dla mnie zagadką i na wieki zostanie zagadką. Mieszkanina niepokodzonych sprzeczności, dumna a nie szanująca samę siebie, zuchwała aż do szaleństwa, to znowu figlarna i łaszcząca się jak kotka; szczytna i podła; fantastyczna i rachująca, słowem nie mogłem nigdy pojąć jak takie rzeczy, obok siebie, mogły się pomieścić w duszy kobiety. Pan co ją dobrze znałeś, przynasz że mam słusność i że trzeba się długo namyślić, nim się potępi człowieka, co miał nieszczęście a może i szczęście wpaść w taki *dangerouses liaisons*, książę siedział ciągle w rogu kozetki i ciągle obracał pierścieniem — żywy obraz nudów i obojętności. Przeklinałem w duszy przypadek co nas na ten przedmiot naprowadził. A może też nie był to przypadek, bom dosłyszał w głosie księcia nieokreślone wzruszenie. Zebrałem całe siły żeby zacząć o interesie rozmowę,

ale książę zaczął dalej mówić niezmiernie rzewliwie, czy uczuciowo — jak chcecie.

— Nie moja w tem wina że się tak stało. Mam może to i owo na sumieniu, czegobym mieć nie chciał w tej samotni, ale w całej tej sprawie nie ja najwięcej jestem winien. Byłem bardzo młody, kiedy ją poznałem. Była starszą odemnie, jeżeli nie latami to znajomością świata i życia. Gdzie się tego nauczyła nie wiem. U kobiet trudno odgadnąć gdzie się uczą tego co umieją, a ona posiadała tę naukę w najwyższym stopniu. Nie była to łatwa rzecz, zasłonić przedemną zbrodnię, którą wyraźnie widziałem: gniew ojca, od którego zupełnie zależałem, i zakrwawienie serca kobiety, którą miałem poślubić. Nie była to łatwa rzecz a jednak potrafiła mię przerobić. Mimo to... córkę nie prawą jednego... nie byłbym nigdy księżną. Prora uczynił, ale byłbym jej nigdy nie porzucił, jak byle jaki łotr, nie zapewniwszy jej losu na całe życie, jak przystoi każdemu mężczyźnie dla kobiety, która była pierwszą jego miłością. Muszę jednak wszystko panu powiedzieć, chociaż mię to dużo kosztować będzie. Była obraza najboleśniejsza obraza jaką mężczyzna może od kobiety odebrać, którą kocha. Panna Konstancja v. Zehren zawiązała jawne stosunki z jednym z moich przyjaciół i któż może mię obwiniać żem się od niej oddalił.

Książę powiedział te ostatnie słowa już prawie śpiący, ale tak lub owak nie wierzyłem w tę jego chętkę do spania. Przeciwnie coraz więcej nabierałem przekonania, że mój jaśnie oświecony gospodarz grał przedemną, naprzód ułożoną rolę. Chociaż to co mówił, dziwiło mię nadzwyczajnie, postanowiłem udawać najzupełniejszą obojętność, żeby się dowiedzieć do czego zmierza ta rozmowa. Książę zauważył to, że skutek jego zwierzeń się nie był taki jakiego się spodziewał, bo z na pół przymkniętymi oczami odezwał się:

— Pan się widać nie interesuje tą damą?

— Bardzo mało! Tyle co nie!

— Czy tak? A Zehren mi zupełnie co innego mówił!

— Zdaje mi się że Artur... pan v. Zehren... nie wszystko wie i nie zawsze mówi prawdę o tem co się mojej osoby tyczy.

— Bardzo być może! Prawdopodobność Artura bardzo mi jest podejrzana; nie raz robię wprost przeciwie temu do czego on mię namawia. Na przykład, jestem najpewniejszy, że się grubo omylił utrzymując przedemną, że młoda artystka, u której się spotkaliśmy, chętnie przyjmie hołdy moje.

Książę zdawał się czekać na odpowiedź ale ja wzruszyłem tylko ramionami.

— Równie wątpię bardzo, żeby mała sumka pieniędzy, którą mu wtedy dałem, została użyta na to, na co dana była, nie mów pan, jestem pewny pan Zehren bywa czasami bardzo nie delikatny. Wielki czas żeby się upamiętał i uporządkował, bo inaczej zginie bez nadziei, jak wszyscy tego rodzaju. Podobno ma widoki dosyć dobre teraz, życząc mu szczęścia.

Czułem jak mi na te słowa krew do głowy uderzyła, bo oczywiście znaczenie ich było bardzo wyraźne, powściągnąłem się o ile mogłem i odpowiedziałem:

— Zdaje mi się że właśnie od pana słyszałem, że w wielu razach twierdzenie Artura trzeba brać na odwrót.

— Gdyby tak było w tym razie, toby mię bardzo bolało, a jednak nie bardzobym winszował tej partji owę młodej damie, chociaż nie mam szczęścia znać ją. Mimo to wierzę mu teraz, bo stosunki mówią za nim. Nie raz miałem ze starym do czynienia, jest to... jakby to powiedzieć... nieznośny roturier, dorobkowiec a tacy ludzie bardzo wysoko cenią stosunki i koligacje z wyższymi klasami społeczeństwa. Dziś nawet rano, oświadczył mi przez radcę prawnego, że ustąpi mi znaczną sumę, jeżeli mu przez mojego ojca wyrobię tytuł tajnego radcy. Dla takich ludzi jest to niebo, kiedy mogą swoją córkę, a do tego jedynaczkę wydać za mąż za szlachcica starszego rodu i ze znaczeniem. Zehrenowie są bardzo starą rodziną, nie ma najmniejszej wątpliwości. Jak młoda dama myśli o tych rzeczach nie wiem, zapewne nie inaczej jak wszystkie jej rówieczniczki. Rzeczywiście, była by to fatalność, gdyby mi Artur i tu jakiego figla wyplatał. Zapłaciłem za niego długi, i przyrzekł mi że nakłoni swojego teścia *in spe* do sprzedaży Zehrendorfu. A i z pańskiej strony, panie Hartwig, czeka mię może także bolesny zawód! Ułożyłem sobie coś w głowie, co może zajmie pana

i właśnie po to miałem zaszczyt zaprosić pana do siebie, żeby to coś przełożyć. Myślałem że to będzie dla pana korzystnem, że to będzie stanowić pański los, jeżeli po kupnie Zehrendorfu, uproszę pana, żebyś zarządzał na mojem miejscu temi i wszystkimi innymi moimi dobrami. Książę mój ojciec, wymaga koniecznie zanim się ze mną pogodzi, żebym został gospodarzem wiejskim. Dużo mi teraz na tem zależy, żeby się z ojcem pogodzić, ale nie znam się wcale na gospodarstwie i zarządzie majątkiem, dla tego to niezmiernie ważnem jest dla mnie gdybym potrafił przywiązać do siebie człowieka, o którym tyle dobrego słyszałem, który w różnych okolicznościach zawsze szlachetnie postępował i o którym sam się przekonałem, że jest najzupełniejszym dżentelmanem.

Pierwszy raz dało się uczuć ciepło w mowie księcia, to też ujął mię za serce. Kiedy mówił ostatni frazes, nachylił się ku mnie a szczery przyjazny uśmiech pokazał się na jego bladej twarzy. Ofiara była wielka i wspaniałomyślna, czułem że kiedy indziej bez namysłu odpowiedziałbym: Dobrze! ale teraz...

— Jesteś pan przezornym człowiekiem, mówił dalej książę nie doczekawszy się odemnie odpowiedzi, myślisz o tem czy książę Prora dotrzyma tego co przyrzeka. Muszę pana pod tym względem uspokoić! I ojcę mojemu równie wiele na tem zależy, żebyśmy się pogodzili, na pierwsze słowo zgody, wymówione przezemnie, wyciągnie do mnie ręce a w nagrodę za to, odda mi wszystkie dobra w tych stronach. Byłoby to, jak na początek, śliczne i obszerne pole do działania dla człowieka czynnego i chwalebnego znaczenia i stanowiska wpływowego. Przyznaj się pan, że takim jesteś! Co się tyczy mojej osoby będziesz z nięj kontent. Jestem z natury opieszala, a zatem we wszystkim będziesz miał rozwiązane ręce i zawsze mię znajdziesz chętnym do spełnienia wszystkich twoich przedstawię. Nigdy nie byłem i nie będę twardym panem, a ponieważ pan nie jesteś w położeniu... jakby to powiedzieć... rozumiesz mię pan... dla czegożbyś nie miał mi wysłuchać tej usługi? Myślę nawet że chętniej to uczynisz, niż się uganiać dalej z takim strasznym plebejuszem.

Kiedy książę mówił tak do mnie, ułożyłem sobie naprzód odpowiedź że i w tym zakresie jak w tamtym mogę wiele dobrego ludziom zrobić. A jednak to wielkie: Tak! nie chciało mi przejść przez usta. Ciężko jest człowiekowi wyrzec się marzonego szczęścia!

— Widzę że moja propozycja zaambarasowała pana, odezwał się książę trochę rozdrażniony. Nie nalegam na pana o natychmiastową stanowczą odpowiedź! Niech się pan namyśli! Masz moje słowo, będę cierpliwie kilka dni czekał. Spodziewam się że pana prędko zobaczę znowu u siebie.

Podniósł się z sofy, ukłonił mi się bardzo uprzejmie na znak że rozmowa się skończyła, kiedy nagle rozległ się silny tentent końskich kopyt.

— Ktoby to mógł być? zapytał książę pociągnąwszy za dzwonek. Stary sługa wszedł a z nim postaniec z zapieczętowanym pismem. Stary był bladej a postaniec czerwony, miny obóh były bardzo pomieszane. Książę niecierpliwie krzyknął:

— Mówię przecie co to jest!

— List od jaśnie... chciałem powiedzieć od pana Kanclerza rzekł stary, odebrawszy list od postanca i podając go księciu w rękę nie na tacy, wiedział już co się stało.

— Książę rozerwał pieczęć, ręce jego drżały gwałtownie kiedy czytał. Podniósł wreszcie oczy i mówił prędko:

— Jego książęca mość miał napad apoplektyczny. Osiedlać Lady, Albert pojedzie ze mną, niech weźmie Essexę. Prędko! i tupnął nogą z niecierpliwości.

Postaniec wybiegł na dwór a stary wpadł do przyległego pokoju zapewne żeby rzeczy księcia przygotować. Książę zaczął chodzić szybko po pokoju, widząc że jest mocno wzruszony, chciałem pocichu i bez pożegnania wyjść, nagle stanął przedemną i z dziwnym uśmiechem odezwał się:

— Widzisz pan, jak to trudno w naszej sferze, zostać porządnym człowiekiem. Kiedy się już na dobre do tego zabierał oto los odwołuje mię w inną stronę. Jedź pan z Bogiem a powracaj prędko. Masz moje słowo. Może teraz jeszcze więcej mi będziesz potrzebny niż wpród. Adieu!

Podał mi rękę, którą serdecznie uściśnąłem. W kilka minut potem, kiedy się szedł przez gęsty las,

bo nie chciałem jechać, przebiegł koło mnie książę jak wichur, pozdrowił ręką i zniknął jak piorun.

ROZDZIAŁ XVI.

Nazajutrz było bardzo gorąco; od rana zaraz zaczęły się zbierać groźne chmury na horyzoncie. Zjawiska natury od dzieciństwa wywierały na mnie magnetyczny wpływ; czułem w sobie wpływ elektryczności, ogarnął mię jakiś niepokój, krew jakby zastęła we mnie. Więcej jednak niż chmurne powietrze dolegało mi uczucie nieznośnego położenia w jakim się znajdowałem. Jak się to wszystko skończy? A może się już skończyło! Miałem dosyć czasu do rozmyślenia nad tem; nikt mi nie przeszkadzał bo Zehrendorf był jak wymarły. Wczoraj ułożony projekt spaceru po morzu, przyszedł do skutku z małemi zmianami w programie. Hermina, panna Bête i Artur mieli jechać konno, ale wczorajszy tragiczny wypadek w rajstzuli spowodował, że wszyscy trzema powozami pojechali. Nawet radca skarbowy i urodzona należeli do towarzystwa! Zmianę tę zrobiono dla dwóch Eleonor, które jednozgodnie oświadczyły, że ponieważ wycieczka miała się tylko z młodzieży składać, to one nie mogą w nięj brać udziału. Oba radcy dali się także namówić.

Była jeszcze trzecia zmiana, która się mnie tyczyła, tak przynajmniej mówiła guwernantka, a czy można co wierzyć historycznej romantyce? Na teraz pozór był za nią ale tylko pozór.

Wróciwszy wczoraj z Rossowa, kiedyś po rozmowie z panem radcą przechodził przez salon, gdzie całe towarzystwo było zebraniem, Hermina grała jakąś huczną na fortepianie kompozycję. Pozdrowiłem wszystkich ukłonem i już trzymałem za klamkę, kiedy nagle muzyka ustała; obejrzałem się Hermina była przedemną. Twarz miała bladą, oczy błyszczały, usta drgały, ton głosu brzmiał dziwnie, kiedy mówiła że spodziewa się że wezmę to za żart, co przy obiedzie mówiono, że rachuje na mnie i że nie zasmucę całego towarzystwa moją nieobecnością. Wszyscy w salonie swobodnie dotąd rozmawiali nie widząc nawet czy ja tu byłem. Raptem wszyscy uciekli, dla tego to mogłem słyszeć moją odpowiedź tak wyraźnie jak gdyby ją kto inny a nie ja. i nie moim głosem powiedział.

— Dziękuję panie Herminie bardzo, rzeczywiście dobrze pani powiedziała, że nie można na mnie rachować przy takim zbiegu okoliczności.

Wybiegłem na dziedziniec drząc cały jak listek, dziecko by mię powaliło na ziemię, straszna boleść ścisnęła mi serce, zdawało mi się że mi piersi pękają.

Nie długo potem, westchnąwszy głęboko na głos krzyknąłem: „Dzięki Bogu! Wszystko się skończyło! całą noc powtarzałem sobie: wszystko się skończyło: mimo bilecik od panny Pauliny, przyniesiony przez Wilhelma, w którym pisała mi swojami fantastycznymi frazesami, że Hermina od dwóch tygodni radowała się owym spacerem, bo miała nadzieję że będzie razem ze mną, że w tym jedynie celu ułożyła go, że chociaż dobre musi czasem ustąpić złemu, chociaż miłość nie wszystko znosi i nie wszystkiemu wierzy, to sama ta krnąbrność i niedowierzenie są zawsze miłością.

Miłość! Czy to jest miłość? Czy to ma być miłość? Miłość znosi wszystko i wierzy wszystkiemu: To prawda! Ale też nie czwani się i nie nastaje na szkodę i boleść! Czy to jest miłość? Czy to nie jest egoizm, próżność, grymas kapryśnego dziecka, które dziś całuje lalkę a jutro depece nogami lub na kawałki rozrywa. Może to dla nięj bańka mydlana co ją bawi chwilę bo ładnie błyszczy i tak lekko leci! Może to miłość osobliwego rodzaju, ale ja takiej miłości nie chcę a zatem: Wszystko się skończyło!

Czyliż nie znałem innej miłości? Silnej, głębokiej, niebiańskiej miłości? Chociaż miłość ta nie była dla mnie arcy szczęśliwą, mimo to nie mogę zaprzeczyć że istnieje. A chociaż nie kocha mnie tak jak może kochać i będzie kochać kogoś innego, zawsze piłem już z tego źródła, co jest dla ludzi najwyższem i prawdziwie ludzkim uczuciem. Miłość jest ostatnim celem życia, w nięj się rozwiązuje byt człowieka. Męczyłem się tak całą noc, nad rankiem porwałem się z łóżka i jeszcze raz zawołałem. „Wszystko się skończyło! Może to i lepiej że się tak stało, wrócisz spokojnie teraz do twoich obowiązków!”

Siedziałem cicho w moim pokoju aż kiedy czas już było iść do kopalni, gdzie pierwszy raz dzisiaj machina miała zacząć działać. Około godziny dziesią-

tęj powróciłem zdać raport panu radcy, że wszystko jak najlepiej się powiodło, że z pewnością już wodę wstrzymamy.

Spacer tymczasem odbył się swoim porządkiem. Były przy nim różne ciekawe szczegóły, które chytre oko Wilhelma dojrzało, a usta zaraz wypaplały. Jasnie panna była w rajskim humorze, ale go jęj popsuł buldog Leo, bo na żaden sposób nie chciał iść z nimi. Przerwałem mu jego dowcipną relację i zapytałem się o pana radcę.

— Pan radca razem z panem radcą prawnym pojechał do miasta na jakiś termin i nie wróci aż późno w nocy.

Wiadomość ta zadziwiła mnie bardzo, bo jeszcze wczoraj wieczór nie wspominał radca o żadnym terminie; przeciwnie zamówił mnie rano do siebie, żeby się o bardzo ważnych rzeczach naradzić. Czyby niebezpieczny stan zdrowia starego księcia, wstrzymał na jakiś czas układy o kupno a może i na zawsze je zniszczył? Jeżeli młody książę obejmie wszystkie dobra po ojcu, to na co mu nowy majątek? Staremu księciu nie na tem nie zależy, ale młody chce sobie przez to zasłużyć na ostrogi i dowieść, że umie wielkie interesa prowadzić. Połknie wędkę, chociaż przynęta nie bardzo pożądana.

Tak rachował radca, ale jak na teraz zdaje się zupełnie źle. Wiadomość o chorobie starego księcia bardzo go przerażała. Dziwna rzecz, że właśnie dzisiaj musiał pojechać do miasta. A może chciał mi ustąpić z drogi dokazawszy swego, że mię na zawsze z Herminą poróżnił? Zapewne nie potrzebuje mię już więcej, kiedym mu machinę ustawił i sprzedaż Zehrendorfu prawie ukończył.

Bardzo to być może! Bardzo to podobne na niego! Aleć i ja go już nie potrzebuję! Zanim mię odprawi chciałem mu sam wprzód powiedzieć, upadam do nóg! Ta nieobecność radcy, która na ucieczkę przedemną zakrawała, była dla mnie jakby ostrzeżeniem żebym przyjął propozycję księcia. Bo cóż właściwie uzyskałem dotąd od radcy dla moich zamiarów? Góry obietnic i pochlebstw nie więcej? A jeżeli Zehrendorfu nie sprzeda, to oczywiście będzie się uważał za zwolnionego ze słowa co do rozszerzenia fabryki, a może nawet i wtedy chociaż by sprzedaż przyszła do skutku. Mało było świętych rzeczy dla pana radcy handlowego, a między nimi znajdowało się nie dane słowo. Przysięk mi np. zostawić na miejscu majstra w tartaku, a kiedym był w Rossowie sam go osobiście oddalił. Już go nie raz łapałem dawniej na gorącym uczynku. Taki człowiek nie mógł być na żaden sposób nawrócony do moich zasad humanizmu.

A książę? Im więcej rozbieierałem szczegóły naszej wczorajszej rozmowy, im wybitniej rysowała się przedemną jego postać, tem więcej upewniałem się że to będzie złoty interes połączyć się z nim. Jest to ciężkie zadanie, nie dać się wzruszyć kiedy ktoś z otwartym sercem idzie do nas i kiedy ten ktoś zajmuje wysokie i wpływowe stanowisko. Nie mogę tego o sobie powiedzieć, żebym nieodwołalnie godność księcia za największe ziemskie szczęście uważał, ale obojęcie się księcia, jego uprzejmość i otwartość zupełnie mię podbiły. W takim stosunku arystokracja i demokracja mogłyby żyć obok siebie na świecie jak rodzone siostry. Ale... Najwięcej ujął mię tem, że z prawdziwie sercową delikatnością, zanim mi otworzył swoje zamiary, usunął z drogi kamień, o który obaśmy się dosyć mocno potracili. Nie wspominał ani słowa o nocnej scenie przed dziewięciu laty, ale wyraźnie mi powiedział, że mię nie zapomniał i że chciał zapłacić dług wdzięczności, który mi się sprawiedliwie należał. Musiałem przyznać, że jego znalezienie się było szlachetnie pańskie. Jakże zgrabnie wytłomaczył mi drugie spotkanie się nasze w pracowni Wandy; jakże ślicznie zakrył swój pierwszy zbyt gwałtowny i niestosowny krok, uczyniony do mnie przez Artura, ofiarując mi teraz tak świetny los?

Rzeczywiście była to wspaniałomyślna i znakomita propozycja; wspaniałomyślna, bo mi ją uczynił po prostu, bez żadnych obrażających dodatków, które często się między wielkimi panami trafiają; znakomita, bo mi otwierała szerokie pole do działania, czego właśnie pragnąłem. Przypuściwszy że radca handlowy był rzeczywiście takim za jakiego uchodził — o czem bardzo wątpiłem, — cóż znaczyło jego bogactwo i wpływ obok bogactwa i wpływu księcia Prora. Studentem jeszcze będąc wiedziałem, że na samej wyspie należało do księcia przeszło 3000 włók ziemi; dalej miasto i rezydencja Prora, myśliwski

pałac z ogromnymi lasami, hrabstwo Ralów, pałac wspaniały w stolicy, około którego nigdy bez wzruszenia nie przeszedłem, wielkie posiadłości na Szlązku z hutami i warsztatami żelaznymi, których wartość na dwa miliony talarów szacowano. Czemże był ów krezus z X. w porównaniu z tym krezusem, którego dwuletnie dochody były tak wielkie jak cały majątek radcy?

Inaczej wprawdzie przygotowałem sobie drogę do życia! Moja namiętność do matematyki, moje postępy w mechanice, moje nadzieje że się przyłożę wiele do rozwoju w Niemczech kolei żelaznych; moje plany o poprawie bytu i moralności klas robotniczych; wszystko zgoła porzucić trzeba. Dla czego porzucić? Czyliż to nie wszystko jedno tu lub tam, takim lub owym sposobem działać aby tylko działać w duchu i widokach mojego nieodżałowanego nauczyciela? Tak, tak! Powiniennem przyjąć propozycję księcia, bo inaczej i Wanda byłaby ze mnie nie kontenta która, jak jęj ojciec, zawsze i wszędzie dobra tylko szuka. Czuję że mi nie trudno będzie pokazać jęj, że w tym nowym zawodzie poradę sobie i że zawsze będę godnym jęj przywiązania. A przywiązanie to sam sobie zakrywałem, bo nie chciałem odnawiać krwawej rany w mem sercu; dziś zrozumiałem dobrze że mię skłaniała do siebie dla tego, bo chciała żebym szerzej rozwinął skrzydła; oddaliła zaś od siebie przez litość bo wiedziała że moja cicha i pełna szacunku miłość nie znajdzie echa w jęj sercu. Żeby mi tę boleść osłodzić, pokazała mi inną postać pięknej dziewczicy, ale dziewczica ta jest bachantką co igra z człowiekiem jak z lwem lub tygrysem. Czyste jęj serce ani się domyśla, że są takie brzydkie hece na świecie! Czy ona umie te sztuki: głaskać i ranić, puszczać na wolność i w klatce zamykać? A gdyby umiała to! nie byłaby pierwszą co już do mnie tym językiem przemawiała, powinieneś i musisz się poświęcić! Musisz cierpieć a nie odejść; musisz wszystkę swoją wolę przed moją wolą ukorzyć. Tak zwykle mówią kobiety do mężczyzn!

Myśląc o tem szedłem ciągle naprzód niezważając wcale na to co się na około mnie działo. Wieczór już się robił, kiedym się znalazł nie wiem jakim cudem czy pociągami na drodze do Trantowitz, którą wczoraj do Rossowa jeździłem, a którą całe towarzystwo miało ze spaceru wracać. Nie szedłem przecie do Jana, bo i on zaproszony był na morską zabawę, a jednak szedłem dalej i doszedłem do owego płota, którym Jan odgradzał od pola tak nazwany ogród, bez drzew, bez trawników i bez warzywa; nie było nawet kartofli. Spoglądając przed siebie przez płot, zdawało mi się że widzę na tym melancholicznym gruncie wysoką postać Jana: przeskoczyłem przez płot był to rzeczywiście pan Trantów.

— Myślałem żeś z nimi pojechał.

— Skryłem się! odpowiedział ściskając mi rękę.

— Przecież byleś zaproszony?

— Byłem!

— A więc?

— A więc, kiedym zobaczył że dziś rano przybyła do mojego domu, wyskoczyłem oknem i tak długo siedziałem w lesie aż burza przeminęła. A ty?

— I ja nie miałem ochoty do spaceru.

Chodziliśmy długo po ogrodowej pustyni nie do siebie nie mówiąc; powietrze było gorące i ciężkie, wreszcie rzuciłem się na jakąś upadającą ławkę, rozpiąłem tużurek i kamizelkę bo literalnie dusiłem się. Jan nie wyrzekłszy ani słowa poszedł w kierunku swojego sypialnego pokoju zniknął w oknie, i przyniósł dwie flaszki wina i dwa kieliszki w rękach a jeszcze drugie dwa w kieszeniach paltota. Postawił to wszystko na spruchniałym stole i rzekł.

— Wypij naprzód pół lub całą; te cię orzeźwi!

— Był to znowu dawny Jan taki sam jak wprzód, ze swoim uniwersalnym lekarstwem na wszystkie troski ziemskie. Lekarstwo nie bardzo mu pomagało i mnie zapewne nie pomoże; czułem jednak jakiś pociąg w tej chwili do wina. Drżącą ręką napełniłem kieliszki i trącąc się z nim, rzekłem.

— Piję za pańskie zdrowie panie Janie i za lepszą przyszłość dla nas oboch.

— Wątpię, żeby dla mnie przyszła — odpowiedział i nalał znowu kieliszki.

— Drogi kochany panie Janie! Zrób mi tę łaskę i nie mów takim żalonym tonem: nie mogę tego znieść dziś wieczór bo i mnie samemu o mało serce nie pęknie.

Kochany Jan przysunął mi drugą butelkę i rzekł:

— Cygara doskonałe, sam je próbowałem!

Wkrótce potem dwa ogniste punkta chwiliami

oświetlały w ciemności stół, na nim próżne flaszki, a przy nim dwie twarze, pochylone do siebie i po cichu gaworzące.

— Tak jest mój drogi! mówiła jedna twarz.

— Mylisz się zapewne tak samo jak ja! odpowiedziała druga twarz.

— Nie myślę się. Było to przedwczoraj; spotkałem ją na drodze do Rossowa, jechaliśmy z pół godziny razem, przez cały czas o tobie tylko mówiła.

— Nie musiała jednak być bardzo zambarasowaną takim przedmiotem?

— Płakała nawet, biedne stworzenie! Żal mi jęj bardzo, dla tego proszę cię zakończ już raz tę sprawę.

Nastąpiła cisza. Jan odkorkował trzecią flaszkę; cygara świeciły ponuro a błyskawice coraz częściej i mocniej migwały po niebie.

— Nie pijesz? rzekł Jan.

Nic nie odpowiedziałem: rzeczywiście nie słyszałem nic co Jan mówił; nie wiedziałem nawet że siedzi ze mną i gdzie jestem! Widziałem tylko jęj oczy, słyszałem tylko jęj głos; wielkie niebieskie oczy spoglądały na mnie z wyrzutem, a głos ścisnięty wybiegał z drgających ust tak samo jak wczoraj, kiedy mię prosiła, żebym do ich towarzystwa najeżał.

— Gdzie idziesz? zawołał Jan, widząc że wstał.

— Gdzie oni są teraz?

— Kto może wiedzieć? Że nie powrócili to pewna, bo by tedy wracali: inną drogą nie ma.

— Na wrzosach między twojami bukami i sosnami księcia, trudno zapewne znaleźć drogę?

— Bardzo trudno! ja sam raz dwie godziny po niej błądziłem nie ruszywszy ani dwadzieścia kroków dalej, chociaż noc nie była taka ciemna jak dzisiaj! Aleśmy sobie trochę podpiłi u Zehrendorfu. Hola, co to jest?

Miałem właśnie zamiar pobiedz, gdzie mię oczy poniosą i uchwyciłem się za głowę jakby mi pęknać miała.

— A może oni właśnie są na tem miejscu?

— To weź mię z sobą! zawołał Jan widząc że już biegł przez ogród, stanąłem; Jan nadbiegł i uderzając mię ręką po ramieniu, jakby chciał znarownego konia uspokoić rzekł:

— Tak, to dobrze!

— Chodź ze mną Janie!

— Naturalnie! ale trzeba wiaść kilku ludzi z palonemi latarkami. To się przyda.

— Ale to długo potrwa!

— Pięć minut wszystkiego.

Jan powrócił do domu, wszedł przez okno do sypialnego pokoju z tamtąd do salonu a wreszcie na dziedziniec, gdzie zaczął jak na gwałt dzwonić sygnałowym dzwonkiem. Szedłem za nim krok w krok. Ludzie zbiegli się, pozapalali latarki i w pięć minut już szliśmy wszyscy drogą przez buki trantowickie. Ciemność była tak wielka że i w lesie nie było ciemniej, powietrze było duszne, grzmot huczał już z daleka. Biegłem jak szalony zostawiwszy daleko za sobą i Jana i jego ludzi, chociaż wiedziałem że bez nich nie potrafię zrobić, jeżeli będzie jakie niebezpieczeństwo. Gdzie biegłem, po co biegłem, sam nie wiedziałem, pchał mię jakiś instykt który nam przewodniczył kiedy idzie o życie lub śmierć. Jakim sposobem przebyłem drogę przez las, nie złamawszy ręki i nogi albo nie rozbiwszy głowę, także nie wiem. Czy mi błyskawice przyswiecały, czy mię namiętność prowadziła, która czasami aż do jasnowidztwa sięga? nie wiem. Wiem tylko, że bardzo szybko przebiegł las i znalazłem się na wrzosach, przeszło pół mili szerokie. Z trzech stron graniczyły z lasami Trantowa i księcia a czwartą dotykały się owych bagnisk, po których z Dzikim przebieierałem się owęj pamiętnęj nocy. Ani jedno drzewo nie rosnę na tej całej powierzchni. Jedynym miejscem, po którym można się było kierować był dosyć znaczny pagórek z kamieni, porosły krzakami, z pewnością grób z dawnych czasów. Drogi pewnej nie było; droga zmieniała się podług pory roku, każdy jechał lub szedł jak mu było najdogodniej. Nie jedno nieszczęście przeszło tamtędy; pamiętałem sam że parobek z kofmi, chcąc w nocy przejechać wrzosy utonął w dole po torfie. Oczywiście, przy takim usposobieniu umysłu, w jakim się znajdowałem, przypominałem sobie wszystkie szczegóły tego wypadku: nazwisko parobka że miał narzeczoną z Trantowitz, ładną blondynkę, że biedna dziewczyna na nigdy nie przestała opłakiwać swojej straty; nie raz widziano ją jak siedziała nieruchoma na pagór-

Korespondencja z Paryża.

przez J. K.

ku i wpatrywała się w fatalne miejsce. Zdawało mi się że ta dziewczyna musiała być do niej podobną.

Strach mię coraz większy ogarnął, nagle stanąłem jak wryty bo mi się wydało że jakiś krzyk doleciał do moich uszu. Ale z kąd? Nie długo usłyszałem drugie wołanie prosto przedemną, po tem trzecie, czwarte, to ztąd to z owad, jakby duchy potępionych zaczęły ze swoich mokrych grobów wychodzić. Ani sposób ruszyć się, ciemność była tak gęsta, że ją rękami można było ująć. Oglądałem się na wszystkie strony, aż z wielką moją radością dojrzałem, chociaż daleko jeszcze, Jana i latarnie. Zacząłem wołać z całych sił, żeby się spieszyli, i rzuciłem się naprzód, ale o kilka kroków cofnąłem się przerażony, ujrzawszy przed sobą przy jasnym świetle błyskawicy straszłą jakąś postać. Był to wspięty i parszający koń, bo trafiłem na pierwszy powóz, w którym nikogo już nie było a stangret zaledwie mógł utrzymać znarowione i przestraszone konie.

— Gdzie reszta? zapytałem się mimowolnie zaczynając pomagać stangretowi.

— Bóg jeden wie! Mam tu sam dosyć do roboty.

— Latarnie nadchodzą!

— Bardzo potrzebne! Stój przeklęte bydle!

Nadszedł Jan ze swoimi ludźmi, konie się uspokoiły chociaż ciągle parskały. Na tylnym siedzeniu w powozie leżała jakaś figura wyciągnięta. Światło latarni padło na bladą twarz: był to Artur.

— Co to znaczy? zapytałem się.

Jan wiedział co to znaczyło, kiedy młody człowiek nigdy w niczem nie zachowujący miary, powraca do domu ze spaceru i śpi jak zabity w powozie.

— Temu dajcie pokój rzekł stangret, — ten bezpieczny.

— Jeden z was zostanie tu z latarnią, reszta za mną.

Poszliśmy dalej, trzymając w górze latarnie i nawołując głośno. Odpowiedziano nam z różnych miejsc. Widocznem było że towarzystwo rozbiegło się, tylko powozy trzymały się razem. Trafiliśmy na drugi przewrócony i połamany, ale konie zapłatały się i stanęły — zaledwie zdołaliśmy je wyprząść, potem znaleźliśmy i trzeci po same osie w bagnie, a konie już wyprężone. Scena była niezwykajna i dramatyczna.

Błyskawice migotały bez ustanku; wołania rozlegały się z różnych stron a potem osoby wynurzające się z ciemności; klątwy stangretów, parskanie koni, blade światło latarniowe, huk grzmotów i trzask piorunów, świst wiatru... śliczna chociaż przerażająca scena. Całe towarzystwo wyglądało jak niedzarrze, mężczyźni przerażeni, kobiety trupio blade a wszyscy zabłoceni po uszy.

Przekonałem się zaraz że trudniej było ich zatrzymać niż odszukać wszystkie chcieli co prędzej iść. „Naprzód, naprzód! wołał radca skarbowy — nie ma ani chwili do stracenia, deszcz lunie wkrótce“ latarnie pogasną. Naprzód!

— Naprzód! wołał także pan Granow i wszyscy ruszyli z miejsca. Trudno było, przy takiej kretaninie i krzykach dobiec czy wszyscy już się zebrali. Tego byłem pewny że nie widział tej której szukałem i panny Pauliny. Mówiono że obie damy były w czwartym powozie, który właśnie w tej chwili nadjechał. Skoczyłem do niego, w powozie pana radcy handlowego ujrzałem mnóstwo salop, i szalów a w rogu siedziała więcej umarła niż żywa panna Bête. Naprózno chciałem wydobyć z niej gdzie jest Hermina, wyszeptala jak w gorączce: Szukaj a znajdziesz! i zaczęła konwulsyjnie płakać.

Tymczasem Antoni powiedział mi, że jaśnie panna przed kilku minutami, jak tylko zobaczyła latarnie, wyskoczyła z powozu, chociaż najwięcej ze wszystkich miała odwagi i przyrzekła pannie guwernantce że jej nie opuści. Poszła w kierunku na lewo, ale dokąd? nie wiedział, bo miał wiele kłopotu z końmi, które już zaczęły się niepokoić. Wsiadł potem na kozioł i pojechał za innemi, chociaż wołałem na niego żeby stał na miejscu: musiał mię nie słyszeć. W jednej chwili zostałem sam, a cały orszak z Janem na czele maszerował przez wrzosa do lasu.

d. c. n.

Wiktor Sardou którego utwory teatralne w tłumaczeniach i przeróbkach, podobno na wszystkich teatrach całego świata są przedstawiane, obdarzył scenę paryżką komedią p. t. Fernanda, która jakkolwiek grzeszy układem, jest ułożona tak zręcznie, tyle posiada scenicznych efektów, że życzliwie przyjęta przez publiczność, z pewnością w teatrze Gimnase doczeka się trzystu przedstawień.

Rzecz dosyć zawiła, uczucie prawdziwej miłości podnosi do potęgi, stającą do walki przeciw wszystkiemu i wszystkim. Nawet zemsta pogardzonej kobiety staje się bezsilną, i pomimo dobrze wymierzonych ciosów, broń jej kruszy się jak suchy patyczek. Bohaterka dramatu jest młoda i piękna Fernanda, córka nędzniczy utrzymującej dom gry w którym zbierają się wszystkie szumowiny salonów Paryża i jego motłochu. Fernanda wychowana w tem piekle, skażona jego wyziewem, ścigana przez jednego z szulerów, nie mogąc znieść dłużej tak poniżającego życia, rzuca się pod koła powozu pędzącego ulicą. Do czynu tak rozpaczliwego, głównie przyczyniła się miłość. Fernanda kocha z całym zapalem młodego serca, młodego margrabiego. Myśleć o wzajemności czyste szaleństwo, miłość zaś bez nadziei to jakby świat bez słońca, ptaszyna bez skrzydeł a kwiat bez rosy i światła. Poranioną a raczej potłuczoną Fernandę, przyjmuje pod swą opiekę właścicielka powozu pani Klotylda, którego koła miały ukończyć cierpienia biednego dziewczęcia. Pani Klotylda jest to bogata wdowa, narzeczona owego margrabiego i kochająca go z równym uczuciem jak Fernanda. Miłość ta jednak jest tajemnicą, fatalność zbliżyła bezwiednie do siebie rywalki, aby litość jednej przemieniła w nieubłaganą dla drugiej nienawiść. Margrabia bowiem także pokochał Fernandę za pierwszym ujrzeniem jej w teatrze, a pragnąc wysledzić kto ona taka i gdzie mieszka, udaje przed narzeczoną że wyjeżdża z Paryża, aby z całą swobodą mógł się poświęcić poszukiwaniom. Płochosć to prawdziwie wielkoświatowa, czysto francuzka a miłość zwyczajnie teatralna, w kilku godzinach zawierająca dzieje lat i przepaść uczuć najróżnorodniejszych.

Klotylda podejrzewa zdradę, dowiaduje się o obecności margrabiego w Paryżu, postanawia więc zbadać prawdę i usunąć wszelkie wątpliwości.

W drugim więc akcie przybywającego do siebie margrabiego, przyjmuje z pewnem pomięszaniem, spuszcza oczy, rumieni się: zadziwiony kochanek pyta o przyczynę:

— Andrzej! odpowiada Klotylda — wiesz dobrze że sercu trudno rozkazywać. Wybacz... ale gdy żądasz prawdy... wyznać ją muszę. Jam cię przestała kochać zostańmy przyjaciółmi.

Margrabia spogląda na nią zadziwiony, ale zamiast wybuchu zazdrości, twarz jego rozpromienia się niezwykłą radością, chwytą za rękę klamiącą kobiety i tuląc ją do piersi woła z uniesieniem:

— O! nieporównana! jakże cenię twoją szczerosć. Od tygodnia już pragnę wyjawic ci tajemnicę mego serca, ale nieśmiałość krępuje mi usta. I ja kocham nieznaną, ale prześliczną zbiór wszystkich wdzięków i niewinności. Spotkałem ją w domu w którym mieszkasz, widziałem ją... miłość moja dla niej będzie wieczną, bo jest pierwszą prawdziwą i ostatnią.

W trzecim akcie, Klotylda w nastroju nieubłaganej nienawiści postanawia zemścić się na wiarołomcy. Udaje więc przed nim, że Fernanda jest ubogą panią przybyłą ze wsi, dopomaga zbliżeniu się kochanków, ale nie opuszcza ich ani na chwilę aby przypadkiem margrabia od Fernandy nie otrzymał wyznania prawdy. Biedna dziewczyna olśniona szczęściem a powodowana wrodzoną szlachetnością, pragnie koniecznie narzeczonemu opowiedzieć szczegóły swojej przeszłości, przyémionej cokolwiek niegodziwą opieką matki. Klotylda jak zły duch nie dopuszcza tego, Fernanda więc pisze list do margrabiego i powierza go w ręce nieubłaganej rywalki. List naturalnie nie dochodzi swego celu, a Fernanda uszczęśliwiona myślą, że margrabia nią nie gardzi, iż pomimo wyznania kocha ją z jednym uczuciem,

oddaje mu rękę bez obawy i staje przy stopniach ołtarza.

Nowożeńcy przybywają do domu, Klotylda spieszy za niemi i kiedy ci w upojeniu szczęścia rozpamiętują dzieje swęj miłości, wpada jak furja i z całą gwałtownością zadowolonej zemsty opowiada przeszłość młodej małżonki.

— Spojrz teraz na nią — woła nieubłagana, patrz jaka blada jak zawstydzona! Pomściłam się! dość mi na tem. Małżonkowie pozostają sami. Fernanda z płaczem uniewinnia się i oskarża zarazem. Opowiada swój traiczny czyn rzucenia się pod koła powozu, swoją miłość, żal, rozpacz, przybywają różne objaśnienia, list ów pisany przed ślubem z wyznaniem... margrabia walczy z sobą... miłość uwieczna miłość, małżonkowie łączą, na chwilę rozdwojone serca, zemsta Klotyldy nie odnosi celu.

Jakkolwiek w całym tym dramacie wiele się mieści nieprawdopodobieństwa, akcja żywa, sytuacje zręcznie przeprowadzone, dramatyczność scen wynagradza wszystko. Interes na chwilę nie ostabiony utrzymuje widzów w ciągłym napięciu, a gdy miłość wreszcie prawdziwa odnosi zwycięstwo, każdy z zadowolaniem przyklaskuje dramatowi ciesząc się, że serdeczne, nieklamane uczucie, pokonało nienawiść.

Lato niezmiernie wyludnia Paryż i gdy jedni po wioskach i w morskich nadbrzeżach szukają ochłody, inni marzą o podróży w około kuli ziemskiej, która przy pomocy kolei i paropływów trwa tylko obecnie osiemdziesiąt dni. Przejazdka to cokolwiek za kosztowna aby wielu ochotników mogła zwabić, a dla niektórych jednostek nawet wstrętna bo zawadzająca o Stany Ameryki, które świeżo dały przykład niezwykajnej szorstkości.

Pani Lincoln wdowa po zamordowanym prezydencie, zamieszkała obecnie w Europie, podała do senatu amerykańskiego prozbę o dożywotnią pensję, a to na zasadzie, że posiadając małe mienie zaledwie 300,000 franków wynoszące, nie może prowadzić życia odpowiednio do swęj godności jako wdowa po wielkim dygnitarzu wielkiej Rzeczypospolitej. Pomimo przychylnęj opinii publicznej i prasy perjo-dycznej przemawiającej na korzyść proszącej, Senat odmówił bezwarunkowo, dając tego powody wielkiego znaczenia. W odpowiedzi oświadczył: że rzeczpospolita płaci wynagrodzenie tylko urzędnikowi pełniącemu wskazane obowiązki. Gdzie zaś urząd powierzony jest z wyboru, tam poświęcenie się temu jest tylko dopełnienie obowiązku obywatelskiego, od jakiego nikt nie może się usunąć. Przez czas pełnienia jego skarb publiczny wynagradza czas i pracę poświęcone ogólnemu dobru, ale wynagrodzenia tego nie uważa za środek zarobkowania, dającego utrzymanie rodzinie nawet po śmierci urzędnika. Wszelki wyjątek byłby tu nadużyciem, który sprwadziwszy inne stałby się mógł bardzo niebezpiecznym.

Co do przedstawienia pani Lincoln, że zbyt szczerze posiadając dochody, nie może żyć odpowiednio do swęj godności jako wdowa po prezydencie Zjednoczonych Stanów, Senat stanowczo oświadczył, że takiej zasady przyjąć nie może. Społeczność amerykańska powiada, spoczywa na zasadzie demokratycznej. Prezydent Rzeczypospolitej ustąpiwszy z urzędu, staje się jak każdy inny obywatel członkiem swęj społecznośc. Przez czas jego służby, na reprezentację piastowanej godności, skarb publiczny dostarcza odpowiednich na to funduszu, gdy służba się kończy, obywatel winien w sposobie życia zastosować się do posiadanych funduszu. Przyznawać, że były prezydent lub po nim wdowa, mają wyższe obowiązki towarzyskie od każdego innego obywatela Rzeczypospolitej, byłoby zaprzeczanie zasadzie demokratycznej, zdeptać równość i wstrząsnąć główną podwalinę społecznośc amerykanickiej. Można żałować, że pani Lincoln, wdowa po zasłużonym mężu mniema, że jest w trudnem położeniu, ale Senat sądzi, iż 300,000 franków aż nadto są dostateczne na przyzwoite jej utrzymanie.

(d. e. n.)

POGADANKI NAUKOWE

Z DZIEDZINY OPTYKI I ŚWIATŁA.

II.

BŁĘDY OCZU.

Chcąc przedstawić złudzenia optyki, zwrócimy się przede wszystkim do jednego z najgłówniejszych, najznakomitszych organów naszych, najważniejszego ze wszystkich zmysłów i wykażemy że oko nasze, ów organ, który uważamy za tak pewny i nieomylny, nieustannie nas ludzi i zwodzi.

W starożytności istniała szkoła sceptyków wątpliwych bezwzględnie o wszystkim, a to począwszy od teoretyka Pyrrona, aż do owego niepoprawnego niedowiarka, co nawet dostawszy potężny policzek, wątpił jeszcze o sile muszkułów. Z tej wychodzącej zasady, możnaby powiedzieć mówiąc o optyce: że w nauce tej wątpliwość i omamienie główną odgrywają rolę. Lecz jeśli zmysły podlegają błędom i omyłkom, jest w nas coś wyższego i potężniejszego od nich — rozum — który prostuje błędy i opiera nasze zdania i wnioski na stalszych, pewniejszych podstawach. Wprawdzie czasami stajemy się igraszką złudzeń, ale przecież z kolei wyłamujemy się z pod ich wpływu, i choćby nam były najmilsze lub opromienione niewysłowioną pięknosci urokiem, przekonujemy się że nie są rzeczywistością.

W niniejszej pogadance zajmujemy się wyłącznie omyłkami popełnianymi przez nasze oczy, a które rozum nasz i sąd o rzeczach tak zupełnie zaciera, że nawet o nich nie wiemy.

Wiadomo że już w sześć lub siedm tygodni po przyjściu na świat, dzieci zwracają wzrok swój ku światłu i przedmiotom błyszczącym, wpatrując się w nie instynktowo, choć nie jeszcze odróżnić nie mogą. Począwszy więc od roślin wschodzących w ciemnych pieczarach aż do dziecięcia w kolebce, wszystkie twory zmiernają do światła, będącego najwyższym, ostatecznym celem całej przyrody. Jakże to wymowna wskazówka dla wszystkich dusz myślących, ażeby wszystkie chęci i dążenia swoje zwracały ku światłu i prawdzie.

Buffon mówi, że od chwili, gdy już dzieci zaczynają rozróżniać przedmioty, wzrok ich dwom podlega błędom. Zanim upewnią się przez dotykanie o położeniu tychże przedmiotów jakoteż i własnego swego ciała, widzą wszystko odwrotnie, t. j. w górze co jest u dołu, a u dołu co znajduje się w górze. (To twierdzenie Buffona należy rozumieć w znaczeniu wrażenia optycznego na siatkówce, jakto mówiliśmy w pierwszej pogadance). Tak więc dzieci nabierają przez oczy fałszywego wyobrażenia o położeniu przedmiotów. Drugą wadą oczu, wprowadzającą dzieci w błąd i wyrabiającą w ich umyśle fałszywy sąd o rzeczach, jest że z razu wszystkie przedmioty widzą podwójnie, i tu także dopiero przez dotykanie uczą się prostować ten błąd, przekonując się że przedmioty, które im się wydawały podwójne, są w rzeczywistości pojedyncze. Oba te błędy wzroku są następnie tak doskonale sprostowane przez dotykanie, że choć w rzeczywistości wszelkie przedmioty ukazują nam się podwójnie i odwrotnie, wyobrażamy sobie że je widzimy pojedyncze i proste. Tak więc gdyby nie zmysł dotykania, oczy oszukiwałyby nas nie tylko co do położenia, ale i co do liczby przedmiotów.

Każdy łatwo bardzo może się przekonać, że rzeczywiście wszelkie przedmioty ukazują nam się podwójnie, w tym celu trzeba patrzeć na jakiś przedmiot, najpierw samem okiem prawem, i uważać jakiemu punktowi ściany lub tarczy podłużonej odpowiadać będzie, gdy następnie na tenże sam przedmiot znowu lewem tylko okiem spojrzymy zobaczymy że innemu punktowi ściany lub tarczy odpowiada, a nakoniec gdy zaczniemy patrzeć na niego obydwoma oczami, odpowie punktowi środkowemu między dwoma pierwsiemi zauważanemi. Tak więc w każdym oku tworzy się obraz oddzielny, a przedmiot widzimy podwójnie, czyli jeden obraz jego po lewej, drugi po prawej stronie: wiemy przecież że jest pojedynczy i mieści się w pośrodku, ponieważ doświadczeniem prostujemy błąd oczu. Jeśli znowu patrząc obu oczami na dwa przedmioty, położone odnośnie do

nas w jednymże kierunku, wtedy wlepiwszy wzrok w pierwszy, bliższy nam przedmiot, zobaczymy go pojedynczo, zaś odleglejszy, wyda nam się podwójnym jeśli znowu utkwimy wzrok w więcej oddalony, tenże wyda nam się pojedynczym a bliższy podwójnym. Dowodzi to wyraźnie że wszelkie przedmioty widzimy podwójnie, chociaż wydają się nam pojedynczo, i że widzimy ich nie tam gdzie są, rzeczywiście choć we właściwym uznajemy je położeniu.

Tak więc gdyby zmysł dotykania nie prostował omyłek zmysłu widzenia, mylibyśmy się zawsze co do położenia, liczby, a nawet miejscowości przedmiotów. I tak sądzilibyśmy że są przewrócone, że są podwójne i że znajdują się mniej więcej na prawo lub na lewo od istotnego miejsca ich położenia.

W każdym tedy oku tworzy się obraz oddzielny, a jeśli mimo to nie widzimy go podwójnie, to jedynie dla tego, że zwracając wzrok na przedmiot, osie obudwu oczu kierujemy na niego w taki sposób, że obrazy powstające na siatkówkach, padają na tak zwane *miejsca indentyczne* i w jeden zlewają się obraz. Jeśli zaś spoglądając na przedmiot nie zwracamy nań baczniejszej uwagi, wtedy rzeczywiście widzimy go podwójnie.

Jak powiedzieliśmy wyżej, zmysł widzenia musi koniecznie być uzupełniony zmysłem czucia, dopiero przez dotykanie i przenoszenie się z miejsca na miejsce, nabywamy prawdziwego wyobrażenia o położeniu i odległości przedmiotów, czego wyraźny dają nam dowód niemowlęta oraz niewidomi od urodzenia, którzy później dopiero wzrok odzyskali.

Niemowlęta nie mogą przekazać swych wrażeń, ale podamy tu wyjątki z ciekawych spostrzeżeń sławnego angielskiego chirurga i operatora, *Cheselden'a* odnoszące się do młodzieńca niewidomego z urodzenia, któremu szczęśliwie zdjął kataraktę. Opisał je bardzo szczegółowo w „*Philosophical Transactions*“ N. 402.

Jakkolwiek niewidomy z urodzenia, jednak chłopczyca ten nie był zupełnie ciemnym, gdyż jak wszyscy dotknięci kataraktą, mógł odróżnić dzień od nocy, a nawet, przy bardzo mocnym świetle, rozpoznawał kolor biały i krwisto czerwony, nie mógł jednak dojrzeć kształtu przedmiotów. Najpierw zrobiono mu operację na jednym tylko oku, kiedy pierwszy raz przejrzał, nie mógł w żaden sposób wyrobić sobie pojęcia o odległości, i zdało mu się że wszystko co tylko widział, dotykało jego oczu równie jak przedmioty dotykane przezeń dotykały skóry jego palców. Najmilsze oczom jego były przedmioty formy gładkiej i regularnych kształtów, chociaż nie umiał żadnego wydać o nich sądu ani wymotywwać czemu podobają mu się więcej od innych.

Podczas ślepoty miał tylko tak słabe wyobrażenie o kolorach, które mógł odróżniać przy bardzo mocnym świetle, że niepodobna mu było ich poznać: przejrawszy mówił, że nie są to kolory jakie widział dawniej. Nie znał także kształtu przedmiotów, nie odróżniał jednego od drugiego chociażby najodmienniejszych postacią i wielkością. Jeśli pokazano mu przedmioty, które pierwsi rozpoznawał dotykaniem, przypatrywał się bacznie, aby następnie mógł je poznać, ale tak mu to szło trudno, że z początku szczególniej na jedną którą zachował w pamięci, nadzwyczaj wiele innych zapominał. Dziwiło go bardzo iż przedmioty które najlepiej lubił nie wydawały się takimi w jego oczach, a osoby najwięcej ukochane nie były zarazem najpiękniejszymi. Za ledwie po upływie dwóch miesięcy mógł poznać, że obrazy przedstawiają ciała stałe, pierwsi zaś uważał je tylko jako płaszczyny różnobarwnie zakolorowane a powierzchownie urozmaicone różnobarwnością kolorów. Gdy już zaczął rozpoznawać że obrazy przedstawiają ciała stałe, pewnym był że uczuje to za dotknięciem i bardzo się dziwił kiedy dotykając się tych części, które skutkiem światła i cieni wydawały mu się okrągłe, odstające, przekonując się że były równie płaskie i gładkie jak i cały obraz. Któryż zmysł mnie myli? zapytywał, widzenie czy czucie? Pokazano mu miniaturę ojca, którą matka jego nosiła w medaljonie, odrzekł iż wie że jest to podobizna ojca, ale w żaden sposób nie może pojąć, jakim sposobem tak duża twarz może się pomieścić w tak małych ramach. Początkowo nie znosił żadnego mocniejszego światła, i wszystko co widział wydawało mu się bardzo wielkiem, lecz gdy stopniowo przyglądał się rzeczom rzeczywiście ogromnym, wtedy dawniej widziane wydawały mu się już znacznie mniejsze. Mniemał że nic nie istnieje po za obrębem jego widzenia, i choć wiedział że pokój w którym się znajdu-

je jest tylko pewną częścią domu, nie mógł pojąć jak może tenże wydać się większym od jego pokoju.

Gdy mu powiedziano że zamierzają zdjąć mu kataraktę, nie obiecywał sobie wielkich przyjemności z nowego zmysłu, i tylko myślał że będzie mógł nauczyć się czytać i pisać, skłaniała go do poddania się operacji. Cóż mi tak wielkiego przyjdzie ze wzroku, mówił, wszak i teraz mogę swobodnie przechadzać się po ogrodzie, znam wszelkie jego ulice i altany i jak wszyscy przyznają pewniej i śmieliej chodzę w nocy, niż ludzie obdarzeni wzrokiem. Przewagę tę nad osobami obdarzonymi najlepszym nawet wzrokiem, zachował jeszcze długo po przewidzeniu. Jednakże gdy już w całej pełni zaczął używać nowego zmysłu, nie posiadał się z radości, mówiąc że w ludzkiej mowie brak słów na wyrażenie jego szczęścia i doznawanej rozkoszy.

W rok później zdjęto mu znow kataraktę z drugiego oka, i operacja równie szczęśliwie się powiodła. Z początku, przedmioty widziane tym okiem wydawały mu się znacznie większe niż przed operowaniem, ale już nie tak wielkie jak po pierwszym zdjęciu katarakty, a gdy obu oczami na coś spoglądał, wtedy jak mówił, przedmiot ten wydawał mu się dwa razy tak wielki, jak widziany samem tylko pierwszym okiem, ale nie dwoiły mu się przedmioty lub przynajmniej tego nie spostrzegał.

Jeśli to już jest dziwnem, że widząc wszystkie przedmioty zdwojone, jesteśmy zdolni wrażeń to sprowadzić do jedności, co dopiero powiedzieć o wzroku owadów, u których oczy liczą się na setki, a każde stanowi jakby lupę zastosowaną do rozpatrywania małych przedmiotów, z którymi marne te istotki pozostają w stosunku, a przecież ta niezliczona liczba oczu nie przeszkadza im instynktowo wyrabiać sobie jeden tylko obraz obserwowanego przedmiotu?

W przyszłej pogadance wykażemy jeszcze zadziwiająca złudzenia zmysłu widzenia.

J. Belejowska.

KILKA NOWSZYCH

NIEMIECKICH POWIEŚCI,

ZE WZGLĘDU ICH STOSUNKU

ZE STANEM SPOŁECZEŃSTWA.

(Dalszy ciąg.)

II.

Gdybyśmy mieli zamiar przedstawić w tym rozbiore, dokładniejszy obraz powieściowej literatury niemieckiej z lat ostatnich, przyszłoby nam przyłączyć nie jedno nazwisko. Przede wszystkim wypadłoby wspomnieć o Gustawie Frejtagu, któremu główny jego utwór *Debet i Kredyt* (Soll und Haben), pozyskał tak w Niemczech jak w innych krajach niemałe uznanie. Niedawno temu, ukazała się nowa powieść tegoż autora, nazwiskiem: *Zgubiony rękopis*, upatrujemy w niej pewne powinowactwo ducha z książką Auerbacha noszącą tytuł: *Na Wyżynach*. Nie godzi się też pominąć Pawła Hejsego, coraz to wzbogacającego swą skarbnicę noweli jakim nowym klejnocikiem, kunsztownie w stylu florenckim obrobionym, ani Maurycego Hartmanna, który niedawno wydał pełną dramatycznego zajęcia powieść, osnutą na wypadkach ostatnich dni życia Murata, oraz zbiór drobniejszych powiastek, zalecających się tak samą treścią, jak pięknoscią formy. Powiedzieliśmy już dla jakich powodów ograniczyliśmy na kilku autorach pracę naszą obecną. Dzieła ich przedstawiają nam dość pewne dane o stanie umysłów w dzisiejszem niemieckim społeczeństwie, i jakkolwiek żaden z nich nie wyrzekł dotąd swego ostatniego słowa, wszelako z tego co już utworzyli poznaliśmy ich do pewnego stopnia. Zastęp na którego czele stoją, tchnie duchem tyleż poważnym i wzniosłym ile liberalnym, w każdym z tych umysłów wytrawnych i dojrzałych dostrzegamy z radością zupełne uspokojenie dawnych namiętności. Świadczą o tem przytoczone przez jednego z wyżej wzmiankowanych pisarzy piękne słowa wyjęte z Sofoklesowej *Antygony*: „Serce moje jest stworzone do miłości, nie do nienawiści“. Życzliwe owo usposobienie jest ich pióra natchnieniem.

Obok tych przedstawicieli myśli zacnej i pojedynczej stoi wszakże zastęp młodszy i dosyć burzliwy, o ile wnosić można z niejednych gwałtownych jego wystąpień. Dziennikarstwu dał on Jana Scherra, w literaturze powieściowej liczy także odważnego szermierza, zawsze gotowego do zaczepki. Jest nim Fryderyk Spielhagen, duch złożony z żywiołów wielce różnorodnych, serce poety z naturą trybuna, artysta a zarazem demokrata. Wszakże — dla tego może iż jest artystą — niepodobna mu nieraz oprzeć się poetycznemu urokowi szlachectwa rodu, ale co prawda oplaca błąd ten bezstronnością z jaką mówi o własnym obozie. Przepatrując utwory tego pisarza, rzecby o nim można że dotąd nie natrafił na właściwą sobie drogę, a jednak — oto wyszły niedawno dzieła jego kompletne. Zanim więc nowa ich serja (już rozpoczęta) zwróci uwagę krytyki, zajrzyjmy dziś w oczy temu niespokojnemu duchowi i osądźmy go z tego co już z siebie wydał.

Fryderyk Spielhagen urodził się w Magdeburgu w r. 1829. Wychowany w Stralundzie, kończył nauki we wszechnicach Berlina i Bonnu, kształcąc się głównie w filozofji i w filologii. Zdaje się nawet że było jego zamiarem szukać zawodu w uniwersyteckim wykładzie i że tłumił w sobie dosyć długo poetyckie natchnienie, aż wreszcie ostatnie górę w nim wzięło, niweczając dawne jego plany. Świadczy o tem data pierwszej jego powieści. Gdy napisał *Klarę Vere*, miał już lat dwadzieścia osm. Nie należy szukać w tym utworze odwzorowania rzeczywistości, więcej tam deleko samego autora, niżli tego co go otacza. Przypatrzmy się raczej owemu jasnowłosemu młodzianowi, z wejrzeniem dumnym lecz łagodnym, którego napotykamy wśród cieniściego angielskiego lasu. Nie może on być zarówno synem lorda, jak prostym leśniczym albo też wieśniakiem? Gdy go o drogę zapytuje Klara Vere, młoda lady z sąsiedniego zamku, zbłąkana podczas konnej przejażdżki, widzimy że i ona podziela w tym względzie naszą niepewność. Niebawem dowiaduje się wszelako że napotkany młodzieniec jest leśniczym pana tych włości, lorda de Vere, świeżo zmarłego bezpotomnie. Jerzy Allen ma na imię. Więc to tylko leśniczy! A jednak, ileż szlachetności w tych rysach tak pięknych! Wspomnienie owego spotkania, pozostaje w pamięci Klary jakby wrażenia jakiegoś olśnienia. Ze swój strony Jerzy, zaledwie ujrzał piękną panią, pochyła dumne czoło przed owym cudnym zjawiskiem. Na wpół obrażona, na wpół zachwycona tym hołdem tak zuchwałym, jakkolwiek czci pełnym, Klara ulega niebawem potędze uczucia które zbudziła. Sama się dziwić mocy czaru który ją owładnął, czuje że pokochała Jerzego i wyznaje mu to właśnie w chwili, gdy młodzieniec odzyskawszy papiery dotąd zatraczone, dowiaduje się że jest prawowitym synem lorda de Vere. Testament lorda wyjaśnia, dla jakich powodów Jerzy został wychowany jak sierota w ubogim domku leśniczego, dla czego ojciec mając go ciągle na oku, nie dał mu jednak swego nazwiska. Testament ów przypomina w pewnym względzie ostatnią wolę i ostatnie nauki hrabiego de Camors dla syna, spisane na pierwszej stronie aż nadto słynnej powieści Feuillet'a, ale jakąż przestrzeń rozdziela te dwa wyznania wiary! Tak w jednym jak w drugim ateusz wypowiada swoją doktrynę, ale o ile jest oschłym ateizmem francuza, o tyle u Niemca zachował on ciepła i zapału. Pierwszy jest po prostu zaprzeczeniem praw wyższych stojących na przeszkodzie naszej dumie i namiętnościom, drugi odwołuje się przynajmniej do innego jakiegoś prawa, i w duszach wybranych da się pogodzić z zasadami najsurowszej moralności. Jednym słowem, nie czem innym jak panteizmem jest ateizm niemiecki. Takiego panteisty obraz skończony przedstawia nam Spielhagen w ojcu Jerzego. Żarliwy ów czciciel boskiego majestatu, rozproszony według niego po wszystkich cząstkach wszechistnienia, równie gorąco pragnie zatopić własną istotę w ludzkości, jak rozproszyć bóstwo w nieskończoności wszechświatów. Widzi zatem ciężkie przewinienie i poniekąd zaparcie swój wiary we wszystkim, co prowadzi do jakiegokolwiek samoistności, tem bardziej zaś do wyższego w świecie stanowiska, do zadowolenia dumy i do używania praw wyjątkowych. Podobnymi dążeniami brzydzi się jak zbrodnią. W oczach jego, pierwszym obowiązkiem człowieka, jest dążenie do coraz energiczniejszego pomniejszania swojej indywidualności, w celu zatopienia jej wreszcie w wielkiej rodzinie dzieci Adamowych. Aby spełnić ten obowiązek, potrzeba umieć się wyrzec nawet własnego

nazwiska, otóż dla ułatwienia synowi tej ofiary, lord de Vere odbiera mu je zawczasu. Jerzy ma się dowiedzieć że jest synem lorda nie prędzej, aż kiedy wrażenia pierwszej młodości staną mu się dosyć silną obroną, przeciw powabnym siłom kasty w której się urodził. Wtedy — sam wybierze dalszą swą drogę, jeśli pójdzie śladami ojca, uczyni to z własnej woli i zupełną samowiedzą. Taką jest treść owego ciekawego zaprawdę testamentu. Głos ten z po za grobu przemawiający do młodzieńca, trafia wprost do jego serca. Ileż razy w namiętnych uniesieniach miłości, przeklinał ów świat wybranych do którego należy Klara? Ileż razy czuł się dotkliwie urażonym w zetknięciu z tem chłodnym społeczeństwem, stanowiącym otoczenie dumnej lady? Nie — nie tam dla niego miejsce, teraz widzi to wyraźnie. Jerzy tedy wyrzeka się Klary i poślubiwszy słodką i kochającą Helenę, córkę leśniczego, który mu był ojcem przybrany, przenosi się do Ameryki, gdzie spędza resztę życia, przystąpiwszy do zgromadzenia urzędzonego niegdyś przez lorda de Vere dla „wolnych Boga czcicieli“. Posłuchajmy co mówi o tem zgromadzeniu, wprowadzając do niego Jerzego, dawny ojca jego przyjaciel:

„Jest to zebranie wszystkich prawdziwych ducha Bożego czcicieli, zgromadzenie liczące adherentów na całej przestrzeni kuli ziemskiej, pod każdą strefą i w każdej warstwie społeczeństwa, — do nich to należy bez wątpienia przyszłość. Ich Bóg nie zamieszkuje w świątyniach zbudowanych ludzkimi rękami, oni sami służą mu za świątynie, myśl ich jest mu każdym chwilowym uczuciem. Nie obchodzą żadnych świąt wyjątkowych, bo każdy dzień jest u nich świątecznym. Nie mają duchowieństwa, bo z nich każdy jest kapłanem. Nie wierzą w piekło, gdyż raj już na tym się dla nich świecie rozpoczął. Nie lękają się śmierci, bo jej nie uznają, a jeśli nie wzywają imienia Bożego, czynią to dla tego, że Bóg nie ma imienia i że żaden wyraz nie jest w stanie określić jego ogromu. Nadejdzie czas, w którym wszyscy ludzie zrozumieją się znowu nawzajem, jak się rozumieli przed pomieszczeniem języków, wtedy wszyscy będą sobie braćmi. Prawdy które dziś mędrzec w głębi ducha ogląda, nie mogą ich wygłaszać bez wywołania zgorznienia, staną się kiedyś wspólnem bogactwem i uciechą ludzkości. Przeszarżały świat Europy jest niwą nadto zeschłą i niewdzięczną, do uprawy nowej idei, zbyt głębokie tam zapuściły korzenie dawne przesady i błędy wiekowe — próżnoby probować je wypłenić, chwast ten bujno zawsze odrósł i zagłuszy kiełkujące nowe nasienie. Ameryka — to nasza nadzieja.... Wyznawca chrystjanizmu wyglądający osobistego bytu i uszczęśliwienia po za grobem, wierzący w wiekuiste istnienie w którym będzie oglądał Boga twarzą w twarz, woła z wzrokiem w niebo utkwionym: O śmierci, kędyż twoje żądło? o otchłani, gdzie twoje zwycięstwo? Ale ten, który obrał rozum za promienistą gwiazdę swego żywota, ten który nie uznaje istnienia tego czego myśl jego nie ogarnia, ten który w śmierci widzi zadanie nie do rozwiązania, nie jestże nieustannie w swój wierze umacniany, owem ścisłem a niepożytem zespoleniem jego istoty z całą przyrodą? Ona to, święta i wielka przyroda, zrodziła go i wypiastrowała, rozkoszą mu było od kolebki czuć się z nią zjednoczonym, i zjednoczonym z nią pozostanie na wieki. Nie ma dla niego względów ani korzyści osobistych w obec całości wszechogromu. Ludzkie istnienie jest niczem, albowiem jednostka jest tylko cząstką całości wszechświata i jako taka, do niej należy. Przejęty tą wiarą mocniej niż bym to zdołał jakimikolwiek słowy wyrazić, mam także prawo zawołać: O otchłani, gdzie twoje zwycięstwo? o śmierci kędyż twoje żądło?“

Gdyby siła uczucia, przebijająca w tych słowach nie ożywiła nieco tych doktryn już przestarzałych, nie odważylibyśmy się na przytoczenie powyższego ustępu. Był on nam jednak potrzebny do uzupełnienia charakterystyki Spielhagena. Żywa nienawiść przeciw arystokracji i mistyczny panteizm, oto dwie główne cechy tego pisarza: upodobany od niego typem zdaje się być ten, który uosobił w lordzie de Vere. We wszystkich prawie jego powieściach napotykamy wielkiego pana mistyka i panteistę tak iż rzecby można, że w swych nieustannych zaczepkach przeciw arystokracji, Spielhagen zdradza żal ukryty że sam do niej nie należy i że niema sposobności wyrzeczenia się z rozgłosem przywilejów świetnego stanowiska, tak jak to Jerzy Allen uczynił.

(d. c. n.)

NATALJA BORISÓWNA DOŁGORUKOWA.

POWIEŚĆ

P. Furmanna.

(Dalszy ciąg.)

CESARSKA NARZECZONA.

Długo trwająca nieobecność cesarza, dała w Moskwie powód do różnych zdań i wniosków, nikt nie wiedział na pewno co się stało w domu Dołgorukich, ale wielu przepowiadało co się stanie z pewnością.

Dziewiątego Listopada cesarz zupełnie niespodzianie powrócił do Moskwy.

Naród zawsze szczerze przywiązany do swoich monarchów, cieszył się z powrotu Piotra, ale radość ta nie była głośną ani huczną, mięszało się do niej jakieś niejasne tęskne uczucie, jakby przecucie smutku. W dziewięć dni po powrocie, cesarz zebrał cały dwór i uroczyście objawił swój zamiar, wicekanclerzowi baronowi Ostermann z poleceniem, żeby zaawiadomił o tem najwyższą radę.

Dołgorukowie tryumfowali, dosięgli ostatniego szczytu wielkości.

24 Listopada w tymże 1729 roku, w dzień Świętej Katarzyny męczennicy, wszyscy mający wstęp do dworu, składali powinszowania cesarzowi, a następnie jego narzeczonej z powodu dnia jej imienia. Wszyscy szli ucałować rękę księżniczki, której tegoż dnia nadany był tytuł cesarskiej wysokości, i przeznaczony nadworny etat.

W dniu 30 Listopada w pałacu Leforta obchodzono uroczystość zaręczyn.

Marszałek dworu Szepielew zaprosił na godzinę 3 po południu, owdowiła cesarzową Eudoksję Teodorównę, cesarzównę Elżbietę Piotrównę, księżnę Katarzynę Meklemburską z córką i cesarzównę Praksedę Joanównę. Osobne zaproszenie przesłano rodzinie kniazia Aleksego Grygorewicza Dołgorukowa z bliższymi jego krewnymi dla wprowadzenia narzeczonej do pałacu.

Wielka sala przeznaczona na tę uroczystość, była urządzona w następujący sposób: na środku leżał ogromny jedwabny perski dywan, na którym stał stół przykryty złotolitą makatą, na stole złota taca a na niej krzyż święty i pierścionki do zaręczyn na dwóch podstawkach. Przed stołem sześciu generał-majorów trzymało wspaniałe baldachim, pod którym odbywała się ceremonia zaręczyn. Kiedy wszystkie zaproszone osoby przybyły do pałacu, Wielki szambelan, kniaz Jan Aleksiejewicz Dołgoruki brat cesarskiej narzeczonej, udał się po nią z szambelanami, w dworskich karetach zaprzężonych w sześć koni.

Przyjechawszy do narzeczonej, wielki szambelan oznajmił jej cel swego przybycia i następnie powiódł ją do wspaniałej karety umyślnie na ten cel przygotowanej. Pochód z pałacu Gołowina, gdzie mieszkała narzeczone, do pałacu Leforta gdzie przebywał cesarz tak jest opisany w owczesnych Petersburgskich Wiadomościach z 14 Grudnia 1729 r.

1. Dwie karety w sześć koni, w których jechali szambelanowie.

2. Kareta kniazia wielkiego szambelana w sześć koni zaprzężona, w której on jechał sam jeden.

3. Czterech laurów.

4. Dwóch furjerów nadwornych konno.

5. Koniuszy Koszelew, konno, sam jeden.

6. Gwardja grenadjerów konno.

7. Czterech pocztyljonów.

8. Sześciokonna kareta, w której siedziała narzeczone, a naprzeciw jej matka i siostra. Przed kareta szło sześciu hajduków i lokaj w paradnej liberji.

9. Za tą kareta jechały dworskie karety z księżniczkami z rodziny Dołgorukich, tak, że bliżsi krewni byli pierwszymi.

10. Damy należące do dworu.

Pochód cały udał się przez most Sołtyka, przez wielką ulicę niemieckiej dzielnicy do pałacu.

Kiedy naręczona ze swoim orszakiem zbliżyła się do pałacu, marszałek dworu i wielki mistrz ceremonii w towarzystwie kawalerów dworu, udali się do apartamentu, przeznaczonego dla dam i prosili wdowę, księżniczkę cesarskiej rodziny i inne damy, aby raczyły przejść do sali, przeznaczonej na zaręczyny, a skoro to nastąpiło i wszystkie damy zajęły swoje miejsca, zeszedł z takąż samą ceremonją, przez główne schody na dół, dla spotkania i wprowadzenia naręczonych.

Książ Jan wielki szambelan wysadził ją z karety i wprowadził na górę, przyczem straż wystąpiła i prezentowała broń, lecz bez uderzenia w bębny. Skoro tylko naręczona weszła do sali, odezwała się wyborowa muzyka; przy której dźwiękach zajęła swoje miejsce, a wielki szambelan wraz z szambelanami i kawalerami dworu, udali się do sali, w której znajdował się cesarz, dla zaproszenia go do sali zaręczyn.

Cesarz w towarzystwie znakomitszych osób swojego dworu wszedł przy odgłosie trąb i cymbałów, i zasiadł na przeznaczonym dla siebie miejscu.

Muzyka zamilkła.

Wielki szambelan wprowadził naręczoną pod baldachim, gdzie stanął i cesarz po prawej stronie.

Arcybiskup Teofan Prokopowicz dopełnił obrzędu zaręczyn, po skończeniu którego dały się słyszeć wystrzały z armat. Wszyscy oprócz cesarzowej wdowy całowali ręce nowo zaręczonych.

Książ Wasil Włodzimierzowicz Dołgoruki, stryj naręczony witał ją i przemówił przy tej sposobności słowami godnymi uwagi.

— „Wczoraj, rzekł on, byłaś jeszcze moją synowicą, dziś zostałaś moją najmiłociwszą cesarzową, ale niech cię nie zaślepi ten blask nowej wielkości, zachowaj na zawsze dawną łagodność i skromność. Ród nasz obdarzony jest wszystkimi dobrami tego świata, nie zapominając o tem że z niego pochodzisz, pamiętaj jednak przedewszystkiem, że władza najwyższa jaką cię Opatrzność obdarza, powinna uszczęśliwiać dobrych i nagradzać zasługujących nagrody, bez względu na ród i nazwisko!....

Po zaręczynach wszyscy poszli patrzeć na fajerwerki następnie rozpoczął się bal, który jednakże nie trwał długo. Naręczona nie była wesołą i czuła się znużoną. O godzinie 8 po południu powróciła do domu w karecie zaprzężonej w osm koni, i otoczonej kawalerami, paziami i hajdukami. Warta prezentowała broń przy odgłosie bębnow.

Z powodu tej uroczystości, cesarz podarował kniazowi Aieksemu Grygorewiczowi Dołgoruków 12,000 włościańskich chat.

Pomimo tych wszystkich zaszczytów sumienie kniazia Aleksego nie było spokojne, niepewność i podejrzenia ciągle go trwożyły i to tak dalece, iż w czasie zaręczyn wszystkie wejścia do pałacu obsadzone były wojskiem, a w samej sali stali grenadjerzy z nabita bronią. Jakkolwiek bądź, Dołgorukowie doszli jednak do szczytu wielkości. Wszystkie ich plany uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem; ślub naznaczony był na 19 Stycznia 1730 roku. Zdawało się że wszyscy ich nieprzyjaciele i zawistni byli pokonani, zgnieceni.

W upojeniu tryumfu Dołgorukowie zapomnieli o losie Mienszykowa, zapomnieli, że sądy Boże są niezbadane.

ZIEMSKIE SZCZĘŚCIE.

Po uroczystości zaręczyn następowały u dworu bezustanne biesiady. Dla wyższego towarzystwa dawano ucztę i bale, a dla ludu urządzane codzienne rozmaite zabawy, szczególnież też w święta.

Zaręczyny i następujące po nich uroczystości dworskie, wywołały i Natalję Borysównę Szeremietjew z samotności w jakiej żyła dotąd. Piękność jej była w całym rozwoju wdzięków i za pierwszym zjawieniem się w salonach młoda hrabianka zachwycała wszystkich. Znakomitsi i bogatsi młodzieńcy ówczesni, otaczali Natalję Borysównę i wielu starało się o jej rękę, ale wszyscy natrafili na niebezpiecznego i silnego rywala. Córka znamienitego i szanownego hrabiego Szeremietjewa miała lat szesnaście, gdy pierwszy raz wystąpiła u dworu. W odosobieniu i spokojności, razem z jej wdziękami rozwijały się i przymioty duszy i tęskne marzycielstwo.

Oto co pisze w swoim głęboko wzruszającym pamiętniku:

— „Po stracie mojej matki usunęłam się od wszystkich towarzystw, ogarnął mnie rzewny smutek i postanowiłam strzedz się zbytecznych rozrywek, w obawie nie narażenia się na obmowę.

„Wówczas bowiem zwracano wielką uwagę na znalezienie się młodych i znakomitych dziewcząt. Nie można było tak uwijać się wszędzie jak teraz.

„Tak piszę jakoby z wami rozmawiała i dla tego od pierwszych lat dziecięcych opisuję wam życie moje. Przekonacie się że i w dzieciństwie nie byłam wesołą i nigdy serce moje nie czuło zbytniego szczęścia. Młodość moją przepędzałam na nauce i rozumem poskramiałam żądze zabaw w tym przekonaniu, że jeszcze będzie czas i sposobność do użycia przyjemności. Jakby przecuciem wiedziona zawczasu przyzwyczajałam się do smutku...

„I tak przeżyłam dwa lata od śmierci matki, dni moje nie przechodziły wesoło. Lecz zwykle gdzie słyszę o bogatej paninie, tam kawalerowie starają się o jej względy, przysła więc i na mnie kolęj, aby rozpocząć życie, o którym marzyłam.“

Książ Jan Aleksiejewicz Dołgoruki, młodzieniec z pięknymi zdolnościami, z sercem poczciwym, lecz rozbałamucony szczęściem i niestety! rolą jaką mu kazali odegrać choiwi sławy krewni, przy pierwszym spotkaniu z Natalją zwrócił na nią szczególną uwagę. Książ Jan ulubieniec i niemal przyjaciel cesarza, był bratem jego naręczony a przytem wielkim szambelanem dworu i majorem lejbgwardji przeobrażonego pułku, w którym nawet najniższe stopnie oficerskie, tylko najznakomitsze zajmowały osoby. Kawaler orderu Ś. Andrzeja siedemnastoletni młodzieniec, piękny czarujący powierzchności, bystrego rozumu, zręczny, przymilający się, starał się pozyskać serce i rękę młodej dziewczycy i wkrótce został jej naręczonym.

Nagle też i niespodziewanie zmieniło się jej życie. Ochocze zabawy, pośród świetnego towarzystwa, zastąpiły chwile dawnych, smutnych marzeń.

Natalja upajała się szczęściem, które Bóg niekiedy tylko zsyła ludziom, a całkowicie oddana obecnej chwili, nie myślała o przyszłości.

Bo i cóż obchodziła ją przyszłość? Terazniejszość tak była piękną tak czarującą!...

Cesarz powinszował swemu ulubieńcowi pięknego wyboru i rozkazał żeby prędko odbyły się zaręczyny.

(d. c. n.)

O UBIORACH.

Korespondencja z Paryża.

Kostiumy tegoroczne mają nie jedną stronę niedogodną. Naprzód że pochłaniają niesłychaną ilość materiału, niekiedy do 25 metrów, to jest blisko czterdziestu łokci, powtóre że przy tem obciążeniu wolantami, plisami, ruszami, suknie musi być zrobiona nadzwyczaj biegłą ręką, żeby nie wyglądała dziwnie. Paryżanki ratują się jeszcze tem, że przy nadzwyczajnem współubieganiu się kupców, dostać można ładnych wyrobów letnich na suknie po 75 cent. metr, to jest łokieć mniej więcej po złotemu. Kupey warszawscy z powodu kosztów sprowadzenia, cła, zamiany pieniędzy, sprzedawać tak nie mogą, sądzą więc że Warszawianki nie zechcą trzymać się literalnie mody panującej dziś w Paryżu, a zaręczyć możemy że gdy umniejszą liczbę falban, plis i t. p., ubiór ich zyska na wdzięku i prostocie.

Do ubrania na ulicę lub do ogrodu, najwięcej widać w tym roku kostiumów szarych niewarowych. Jest to moda panująca w Paryżu. Robią je z fularu jedwabnego i welnianego, z batysty, z płócienną, a nareszcie z nowej tkaniny bawelnianej, naśladowującej płótno.

Zacznijmy od kostiumów fularowych. Widzimy je bardzo często na spódniczce czarnej jedwabnej, wygarnirowanej kilkoma falbankami. Wierzchnia spódniczka fularowa podpinana się wysoko po bokach. Niekiedy tworzy tunikę zupełnie rozwartą z przodu, czasami składa się z fartuszków i sutęj baskiny. Garniowanie tworzy zwykle falbana obszyta frendzlą jedwabną, lub też sama tylko frendzla. Paletocik do tego krótki rozcięty w tyle i po bokach, zakończony odpowiednio.

Suknie szare batystowe i płóciennkowe, garnirują się

falbankami; brzegiem falbanek idzie koronka kluny w kolorze szarym, lub biała koroneczka Bruges. Widzieliśmy też suknie batystowe a nawet fularowe garniowane białymi muszlinowymi falbankami, co bardzo ładnie i świeżo wygląda.

Kostiumy szare bawelniane naśladowujące płótno, zdobiają kilkoma rurkowanymi falbankami z czarną plecionką u brzegu.

Do modnych wyrobów letnich należy grenadina dosyć gruba, nakształt kanwy, czarna, popielata, brązowa itp. grenadina ta bywa zupełnie gładka, lub też w jedwabne paski przechodzące w odstępach.

Widzieliśmy taki kostium w kolorze chrzabaszczowym. Na spódniczce z alpigi tegoż koloru, szła spódniczka grenadinowa w paski z dwoma ukośnymi wolantami, każdy wolant zakończona w górze ruszą krajana w poprzek. Wierzchnia spódniczka z przodu bardzo krótka z tyłu dłuższa i mocno bufowana objęta była w koło wolantem i ruszą. Kaftanik gładki wcięty, miał podwójną baskinę, z pod której wyglądała szarfa jedwabna.

Kapelusz do tej sukni przeznaczony był słomkowy w kolorze odpowiednim, przybrany pęczkami piór strusich i bukietkami polnych kwiatów. Buciki ze skóry brązowej, rękawiczki duńskie.

Suknie gładkie grenadinowe robią z wolantem zaprasowanym — grenadinowe w paski muszą mieć falbany ukośne.

Czarne bareżowe suknie garniowane koronką welnianą czarną, na falbance muszlinowej białej należą do najmłodniejszych. Jedwabne paletociki czarne garnirują też białą koronką Bruges, położoną na czarnej koronce.

Kostiumy perkalikowe bywają najczęściej w dwóch kolorach. Widzieliśmy jeden bardzo ładny, w drobne bukietki na tle białym. U pierwszej spódniczki siedł wolant, objęty u dołu szerokim pasem z perkaliku gładkiego seledynowego. Nad wolantem szła ruszka seledynowa. Druga spódniczka krótka, miała takiż wolant cokolwiek węższy, kaftanik do tego rozcinany przybrany ruszką zieloną. Rękawy zakończone od łokcia odpowiednim wolantem.

Suknie lekkie welniane nazywają aksamitką czarną. Podobał nam się kostium taki z letniej tkaniny błękitnej i mienionej z białem. Pierwsza spódniczka naszyta była kilkoma rzędami aksamitki, druga tworząca fartuszek i baskinę, odpowiednie miała naszytą. Kaftanik obcisły do figury, kończył się aksamitką. Kapelusz do tego kostiumu czarny koronkowy okrągły, miał dwa pióra strusie jedno czarne drugie niebieskie.

Dó kąpieli morskich magazyny tutejsze przygotowały zgrabne rotundy białe i pasowe z kapturkami, ogarniowane frendzlą welnianą. Białe nazywają także czarnym sznureczkiem w deseń, zamiast frendzli zdobiają je u dołu wolantem naszytym odpowiednio.

Kolnierzyki noszą zawsze bardzo wielkie, to jest przedłużone z przodu sukni prawie do paska. Jedne składają się ze wstawki na aksamitce czarnej i wolanta koronkowego, inne znów ścięte czworograniaste, złożone są z trzech plis muszlinowych albo tiulowych objętych koronką Bruges; między plisami a koronką idzie aksamitka na dwa palce. Kokarda aksamitna zdobi z przodu kolnierzyk.

Mankietki do tego odpowiednie przybrane kokardkami z aksamitki czarnej.

Seweryna Duchńska.

WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

Sposób przechowania soku z wisien.

Bierze się wisien w miarę ile kto chce mieć soku, te na salaterce lub misce mocno rozgnieść i tak z pestkami zostawić 24 godzin, potem w prasie wycisnąć, przedzić przez czystą serwetę, nalać w butelki i czekać dopóki męty nie wyjdą na wierzch i nie opadną, poczem sok się wlewa w inne butelki czyste i suche, a zakorkowawszy przechować w suchej piwnicy. J. W.

Na bieżący tydzień przygotowaną formę *talmy* z kapturkiem.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Żabia Nr. 956 dom dawniej Krzemieńskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek arkuszowy z drzeworytami i arkusz z krojami.

Dalszy ciąg objaśnień dodatku arkuszowego dołączanego do N. 26 Tygod. Mód.

N. 18. Okrągły kapelus z włoskiej słomy, pokryty wysoko upiętymi fijołkowymi piórami, między którymi wystaje białe skrzydelko. Z boku idzie sutą kokarda z końcami przypinanymi na szynionie. Ubranie ze wstążki powinno cieniem, odpowiadać krepie, (Crépe de Chine) fijołkowej, otaczającej rondko.

N. 19. Medaljon tiulowy z szydełkowymi listkami do ozdoby bielizny.

N. 20. Medaljon tiulowy z brzegiem szydełkowym z listków i muszek do ozdoby bielizny.

N. 21. Teka do chowania batystowych chusteczek do nosa.

Teka ta z dwóch części złożona, 36 cent. długa a 32 cent. szeroka, robi się z kolorowego atlasu białym jedwabem wypikowanego; róg się ścięty, w kółko grubym oszyte sznurem. W środek daje się jedwabna podszywka i wata wyperfumowanym proszkiem potrząśnięta. Na środku wieczka, jest jeszcze 17 1/2 cent. długa, 14 cent. szeroka podszywka do spilek muslinem powleczone, oszyta wstawką i marszczoną koronką 4 1/2 cent. szeroką. Na rogach dane kokardy z 3 cent. szerokiej atlasowej wstążki, zakończonej rodzaj żaboty z koronki. W podobnym pudełku trzymane batystowe chustki i kosztowne koronki nie gniją się i zachowują miły zapach.

N. 22. Oszycie do sukni.

(Zobacz ryc. 2 w Tyg. Mód N. 27).

N. 23 — 24. Szlafrok damski ściągany.

Krój i opis na dodatku N. I. Fig. 1—5.

N. 25—26. Ranny but męzki.

Materiał: Brązowe sukno, jasno-brązowa plecionka (3/4 cent. szeroka) ciemniejsza nieco sutaszowa plecionka jedwabna, brązowy kordonek w 4 cieniach, czarny kordonek.

Deseń na wyszycie cholewy na dodatku N. XV. Fig. 52.

Na cholewę buta z brązowego sukna podajemy pod Fig. 52 deseń na wyszycie w polowie.

Rycina 26 przedstawia całą część przyszywy, wyraźnie narysowaną, tak aby za pomocą konturów Fig. 52 łatwo było dopełnić wyszycie cholewy. Grecki szlaczek otoczony brązową jedwabną plecionką, krzyżowaną czarnym jedwabiem, odrabia się luźnymi ścięgami w dwa rzędy, najjaśniejszym i najciemniejszym kordonkiem. Brązowy jedwabny sutasz stanowi po za grekami idące cugi w zęby i pętelki, w zębach dane są jeszcze różgi w dwóch cieniach. Gwiazdki z jasnym węzłkiem w środku, robią się luźnymi ścięgami w 4 brązowych cieniach, tak żeby najjaśniejszy był rządkiem zewnętrznym. Drugim cieniem odrabiają się także dziergane listeczki i pojedyncze zewnętrzne ścięgi środkowej gwiazdy.

N. 27—33. Męzkie kołnierzyki i mankiety z guzikami.

Opis i krój na dodatku N.

VI, VII. Fig. 18 — 24.

N. 34 i 35. Krawatka męzka.

Na sztywnej podstawie w odwrotne kontrafaldy ułożoną część środkową z ciemnego atlasu 4 i pół cent. szerokiego a 14 cent. długiego, otaczają końce z rodzajem wykładu, z muslinem w środku 54 cent. długie a 5 cent. szerokie, z czarnego jedwabnego rypsu.

N. 35 przedstawia krawatkę z tyłu przytrzymywaną wązkim paseczkiem, który się na małą sprzączkę luźniej lub ciasniej zakłada.

N. 36. Czepek z blondynową barbką.

Na podstawie ze sztywnego tiulu drutem oszytym w ząb ku przodowi, środek zapelnia się iluzjowymi bufkami, otoczonymi 3 cent. szeroką kolorową wstążką w atlasie 160 cent. długą, która przez środek przefaldowana otacza przód i spada w końcach po bokach. Blondyna 140 c. długa a 5 c. szeroka, oszyta z jednej strony 1 i pół cent. szeroką blondynką i pukielkami z wązkiej wstążeczki stanowi nad czołem przymarszczoną z boków spadającą barbę. Bukiet kwiatów w kolorze wstążki, dany trochę z prawej strony, dopełnia całości.

N. 37—39. Czepek z welonikiem.

Z tyłu czepek przez luźno spuszczone końcówki wstążki 64 cent. długich, a 3 i pół szerokiej przyszywa się na 13 cent. sfaldowany tiulowy welonik w rzucik, 32 cent. szeroki a 47 cent. długi, skośno w ząb do tyłu ścięty i 1 c. szeroką blondynką oszyty. Przód ubiera się marszczoną blondynką z sutą rozetą ułożoną z 36—40 liści, na które się bierze kolorowa 1 i pół cent. szeroka wstążeczka. Rycina 38 i 39 przedstawiają listek taki z wierzelem i ze spodu w naturalnej wielkości. Na każdym liść bierze się 13 c. długi kawalek wstążki składa we dwoje, gdzie nierozcięty, ukośno ścina i podług ryc. 38 dwoma brzegami przemarszcza. Listki te układają się jeden na drugim, w rodzaj bukietu. Pukiel z końcami na welonik spadający, uzupełnia ubranie czepek.

N. 40. Tyrolski kapelus dla małego chłopca.

Denko i rondko obciążone aksamitem czarajm, główka opasana rulonikami; aksamitna czarna kokarda przytwierdza z boku kogucie piórko.

N. 41. Toczka dla dziewczynki.

Wysoko wyłożone rondko objęte szafirowym aksamitem. Pióro przez główkę dane, przytwierdza aksamitna rozeta.

klamerkę. Przy czarnych piórach wpięty bukiet małych pasowych, spadający do tyłu i śpilką z zapinką przytwierdzony tylko, żeby go łatwo i nym, odpowiednim do koloru kostiumu zastąpić. U dołu śpiczaste szarfy, pod brodą związane, otacza w kółko 4 c. szeroka jedwabna frendzla

N. 43. Słomiana tyrolka opasana welonikiem gazowym.

Welonik i kokarda z jasno-zielonej „Crépe Iris“; z boku bukiet z konwalji.

N. 44. Słomiany tyrolski kapelus dla młodej osoby.

Kapelusz z wkleśniętą główką, przepasany żółtą „Crépe de Chine“. Przepaska wymaga 10—12 cent. szerokiego ukosu ozdobionego u dołu frendzlą. Białe pióro, i żółdzie słomiane przytwierdzają tiulowy czarny woal.

N. 45—46. Szmizetka z mankiem.

Kolorową aksamitną kokardą przybrana z przodu szmizetka wymaga 80 cent. długiego ukosu muslinu, 24 cent. szerokiego u dołu, 18 cent. w środku. Faldy oznaczone na rycinie, składa 3 cent. szeroki na prawo odwrócony obręb i dwa zalamania 1 i pół cent. szerokie. Koronka na 3 cent. otacza gładki brzeg szmizetki; kolorowa aksamitka 4 cent. szeroka pokrywa przyszywie.

Mankiet ryc. 46. 10 cent. długi a 24 cent. szeroki odpowiednio szmizetce przyrządzonej nosi się pod, lub na rękawie sukni.

N. 47. Ubranie chłopczyka z żakietką.

Ciemne korcikowe ubranie wązką czarną welnianą taśmą i czarnymi guzikami naszyte. Zamkniętą kamizelkę otacza wywinęty kołnierzyk żakiety podłużnie wyciętej. Majtki po kolana taśmą i guzikami z boku przybrane; dwukolorowe pończochy w poprzeczne pasy. Kapelus z włoskiej słomy z dżetową klamerką i piórem koguciem; wysokie buciki.

N. 48. Spacerowe ubranie z weinąm kaftanem.

Krój i opis na dodatku N. XI Fig. 34—37.

N. 49. Kostium z tuniką i gorsecikiem.

Na gładkiej jasnej spódniczce z wyrobu „éeru“ z ukośną 10 12 cent. szeroką falbaną, idzie tunika podniesiona w tyle i szarfa, oszyte białą angorową frendzlą i ciemniejszymi pliszkami. Stanik gorsecikowy z białą haftowaną bluzką. Kokarda brązowa we włosach. Pończochy w czarną i białą kratę. Kozłowe buciki w kolorze sukni. Do sukni pikowej w kolorze éeru, używają w miejsce frendzli muslinowych białych falbanek plisowanych, przytwierdzonych pasmanterją „éeru.“

N. 50. Ubranie dla dziewczynki od 4 — 6 lat.

Materiał welniany (lub do prania) na całą spódniczkę, szarfę i epolety układa się w plisowanie. Karoczek, przy kwadratowo wyciętym staniku, daje się z prostej sztuki. Muslinowa szmizetka; kolorowa kokarda we włosach.

N. 51. Ubranie z luźnym paletotem dla małej dziewczynki.

Na spódniczce z brązowego kaszmiru z falbaną w zęby wyciętą, dana jest szarfa i tunika z prostej sztuki przyrządzona. Kaftanik ubrany szlaczkiem tureckim ma z tyłu rozporek. Garnirunek stanowią pliski i pukielki z brązowej wstążeczki. Okrągły brązowy słomiany kapelus z brązową wstążką, dżetową klamerką, i brązowym piórem na przodzie.



Letnie ubranie.

N. 1. Wieczorowe ubranie.

N. 2. Spacerowe ubranie.

N. 42. Kapelus damski (pod brodę).

Wysoki fason toczka ubrany czarną koronką i skróconym walkiem z „Crépe de Chine“; z boku widać dżetową

N. 1. Ubranie wieczorowe.

Jasna jedwabna suknia, pokryta muslinowymi falbankami zachodzącymi na siebie; muslinowa krótka tunika, falbanką i rulonikami jedwabnymi przybrana, podpięta jest bukiem kwiatów na boku. Bertę formuje woda kontrafaldowana, rulonikami naszyta i falbanka. Buciki w kolorze sukni; jedwabny pasek z szarfą i kwiaty, uzupełniają ubranie. Kolje i bransoletki z pereł lub z medaljonów malowanych „à la Watteau.“

N. 2. Spacerowe ubranie.

Ubranie to z materiału welnianego „écru“ może być także perkalowe lub jedwabne. Modny garnirunek, stanowi gipiurowa wstawka i koronka z haftem, dana na czarnym aksamitnym pasie i przytwierdzona szmuklerskim szlaczkiem. W przeszłym (N. 26) Tygodnika pod ryc. 22 przedstawiliśmy ościeżycie powyższe w połowie, naturalnej wielkości. Klapki różnych rozmiarów z czarnego aksamitu jak pasek, okrągły kapeluszek słomiany biały, takąż gipiurą, czarnym aksamitem i kwiatami przybrany, dopełniają ubrania.

N. 3—4. Stanik irlandzką koronką oszty.

Krój i opis na dodatku N. IV. Fig. 12—15.

N. 5—7. Ubranie chłopczyka od 12—15 lat.

Krój na dodatku N. XII Fig. 38—46.

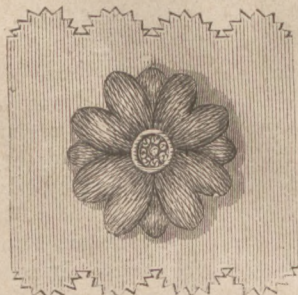
Model z granatowego sukna czarno wystembnowany, spinają czarne rypsowe guziki. Zszywając majtki uważać trzeba żeby materiał przedniej połowy podług wskazówki Fig. 38 od podw. kropki do krzyżyka i od gwiazdki do



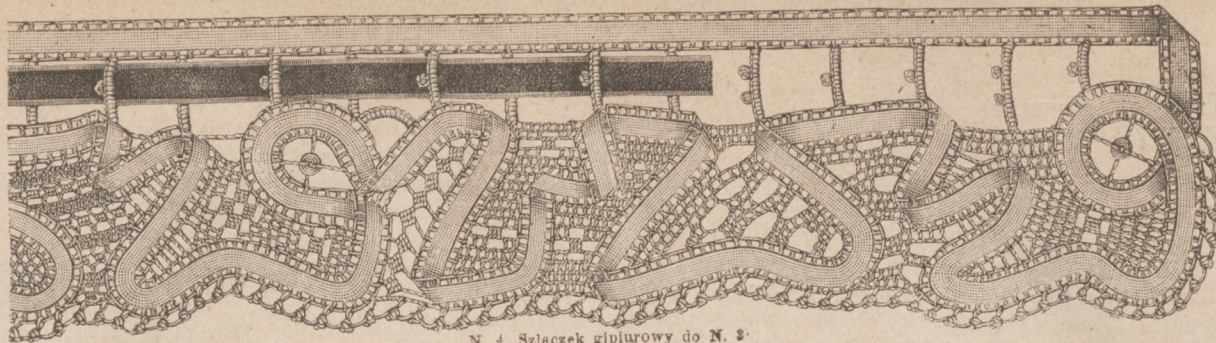
N. 8. Kaftanik atlasem przybrany. Krój na dodatku N. XIII. Fig. 47 do 49.

kropki tyle wyciągnąć, iżby dorównał długości tylnej połowy paskiem objętej, wpływa to bardzo na dobre leżenie ubrania.

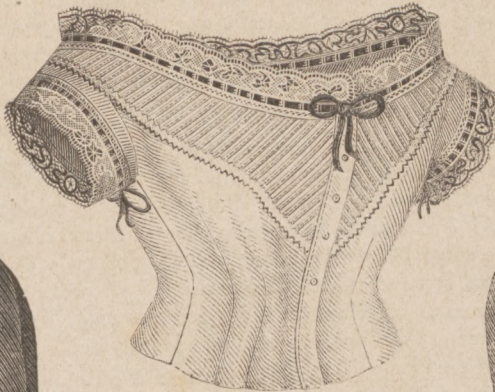
Nogawki obrębione tylko z przodu ze względu na buty, podszywają się 7 cent. szerokim paskiem, grubego popielatego płótna. Obie połowy zszywają się do połowy paska od *h* do *i*. Pasek otrzymuje podszewkę perkalową, u góry tylko przyszytą. Listewkę do guzików zaraz się podszywa listewką do dziurek z podwójnego sukna daje się oddzielną, podstembnowaną na $\frac{3}{4}$ cent. odlegle od brzegu rozporka, który się podwrebia. Kieszenie trzeba przykroić tak długie, żeby je złączyć można z brzegiem przedniej połowy majtek podszytym perkalem. Z tyłu dają się dwie sukienne patki ze



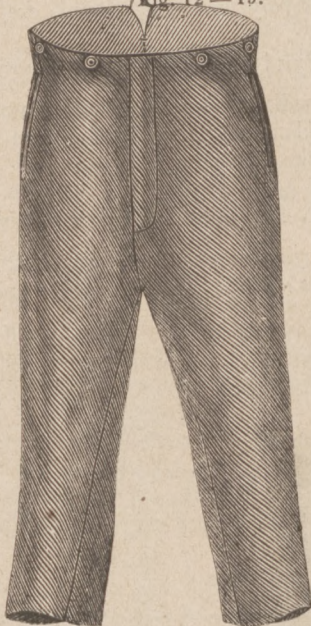
N. 10. Szlaczek do N. 9.



N. 4. Szlaczek gipiurowy do N. 2.



N. 3. Staniczek na gorset. Krój i opis na dodatku N. IV Fig. 12—15.



N. 5. Kaftanik dla chłopca od 12 do 15 lat. N. XII. Fig. 38—46.

N. 6. Kamizelka dla chłopca od 12—15 lat. Krój na dodatku N. XII. Fig. 38—46.

N. 7. Majtki dla chłopca od 12—15 lat. Krój na dodatku N. XII fig. 38—46.



N. 12—13. Szlafroczek z pelerynką chusteczkową. Krój i opis na dodatku N. II fig. 6—7.

sprzączkami do ściągania majtek opatrzonych w rozporku trzema, a u górnego brzegu 6 guzikami. Kamizelka na perkalowych plecach ma $2\frac{1}{2}$ cent. sukienne obłożenie jako kołnier i erz przystembnowane. Do dolnego brzegu rozcięcia kieszonek przystembnowywa się $1\frac{1}{3}$ c. szeroki sukieny pasek z boków zamocowany, pokrywający kieszonki. Kaftan bez podszewki z podwójnie danym kołnierzykiem, ma u dołu 1 cent. szeroki dwa razy przestembnowany obręb, 4 i pół cent. szerokie sukienne pasy, podszywają przody. Klapki kieszeniowe podszyte perkalem przyszywają się do dolnego brzegu rozcięcia, ażeby wystawały na 2 cent. po nad przyszcieniem kieszeni, sięgających dolnego obrębu; klapki wystają z boków na 3 cent. po za rozcięciem.

N. 8. Kaftanik atlasem przybrany dla dziewczynki.

Krój na lat 2—4 na dodatku N. XIII fig. 47—49.

Kaftanik ten z „velour“ białego w fioletkowe paseczki, z dodaniem kieszonek, lamuje się w kolo fioletkowym atlasem 1 cent. szeroko i białą atlasową wypustką. Wązki stojący kołnierzyk, daje się z prostego 1 cent. szerokiego kawalka. Atlasowe guziki i lamowane fioletkowo dziurki, stanowią zapięcie przodów. Kaftaniki takie z białej piki lub lekkiego materiału, wyszywają się w desenie, czarnym jedwabiem albo kolorową przędzą. Do białej flaneli, zalecamy różnokolorowe szlaczki na wyciętem podłożeniu w ząbki z pasowej flanelki.

N. 9—11. Kaftanik dla dziewczynki.

Krój. Zobacz ryc. 8.

Kaftanik ten z białej flaneli, ozdabiają $3\frac{1}{2}$ c. szerokie, z obu stron w ząbki wycinane paski, białym jedwabiem w atlasowe kwiaty wyszywane. Ryc. 10—11 po-



N. 9. Kaftanik wyszywany, dla małej dziewczynki. Krój na dodatku N. XIII. Fig. 47—49.

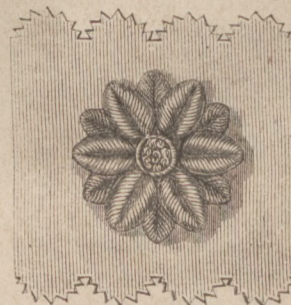
daje wzór wyszycia kwiatków, które się dają w 2—4 cen. szerokiach odstępach. Ryc. 9 objaśnia przyrządzenie patek i w ząb ściętych kieszeniowych kłapek. Obręb u dołu i w kolo kołnierzyka stembnuje się białym jedwabiem. Prząd zapinają guziki i dziurki, pod patką ukryte.

N. 12—13. Szlafroczek z pelerynką chusteczkową.

Krój i opis na dodatku N. II. Fig. 6—7.

N. 14—17. Szydełkowy kołnierzyk z mankietem.

Kołnierzyk w naturalnej wielkości pod ryciną 17 przedstawiony,



N. 11. Szlaczek haftowany do N. 9.

z prostym paskiem w tyle, odpowiada w całości podanemu mankietowi ryc. 16. Szersze rogi kołnierzyka jako wykładane, odrabiają się na inną stronę jak całość. Mankiet u góry przyszywa się do tiulowego lub muslinowego rękawka, żeby o z dobioy kolorową kokardą z gazowej wstążki, spadał na rękę. Białe tło wstążki zdobi pąsowy wrobiony bukiet.

N. 18. Szydełkowy kołnierzyk.

Irlandzka gipiura z koronkowym ścięciem. Materiał: nici na szpulkach N. 100 i 80.

Kwiaty i liście w naturalnej wielkości, otaczają kołnierzyk w rodzaju girlandy, spajanej korzonkami z powietrznych i słupkowych oczek. Razem odrabia nie liście wymagają cieńszych, kwiaty grubszych nici, a kielich z koronkowego ścięgu najcieńszych.

Chcąc po ukończeniu listka lub kwiatka prowadzić dalej robotę bez



N. 14. Szydełkowy kołnierzyk, przerwy i we właściwym Irlandzka gipiura.



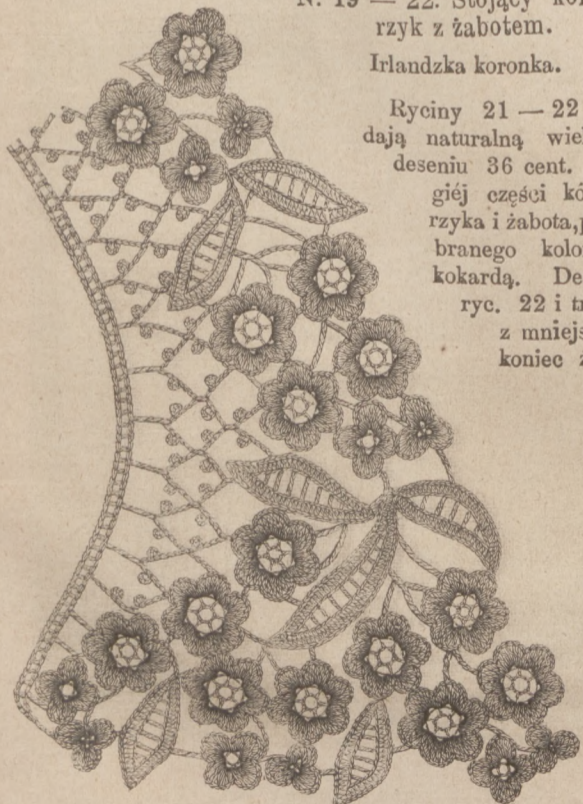
N. 15. Mankiet do N. 14.

nie wrobionych. Na łańcuchku odpowiedniej wielkości omijając zawsze po 3 pow. robi się przezroczysta żyłka liścia, złożona ze stopniowanych słup. pojedynczych i podwójnych. Żyłka ta obrabia się przy korzonku i przy końcu liścia kilkoma ścisłymi oczkami; ku środkowi dają się pół i całe słupki. Tło zarabia się przezroczystymi ząbkami z pow. oczek i 2 pikotów złożonemi; pikot każdy wymaga 5 pow. oczek i 1 ścisłego w pierwsze z powietrznych wrobionego. U góry daje się rządkiem przezroczysty słupki wy, który nadaje formę wykładanego lub stojącego kołnierzyka.

N. 19 — 22. Stojący kołnierzyk z żabotem.

Irlandzka koronka.

Ryciny 21 — 22 podają naturalną wielkość deseni 36 cent. długiej części kołnierzyka i żabota, przybranego kolorową kokardą. Deseni ryc. 22 i trochę z mniejszonymi koniec żabo-



N. 18. Szydełkowy kołnierzyk. Irlandzka gipiura z koronkowym ścięciem.



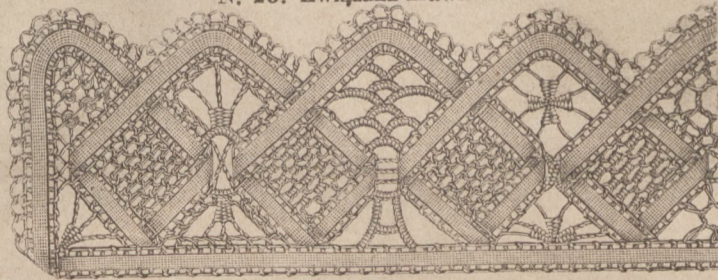
N. 16. Szydełkowy mankiet do N. 15. Irlandzka gipiura.



N. 21. Połowa żabota do N. 19.



N. 23. Związana krawatka.



N. 22. Próbką roboty stojącego kołnierzyka N. 19.

ta ryc. 21 służy także jako wzór mankieta, jak go ryc. 20 wskazuje.

N. 23. Krawatka związana.

Krawatka ta z dwóch materjałów, oszyta 4 1/2 cent. długą frendzlą jedwabną, robi się na podstawie sztywnego tiulu 4 cent. dużej.

Końce i jeden pukiel daje się z krawatki fularu kolorowym atlasem lamowanego (30

cent. długi a 4 1/2 szeroki). Dwa drugie pukle, ze wstążki atlasowej odpowiednich rozmiarów, powinny odpowiadać cieniem lamówce i frendzli. Faldowany węzeł daje się też ze wstążki. Podwójna spileczka z haczykiem pod spodem umieszczona, służy jako zapinka.

N. 24 — 25. Dwa uczesania.

Obydwa uczesania wymagają pięknych 55—60 cent. długich włosów. Rozdzieliwszy włosy żeby na przodzie ułożyć je jak trzeba do twarzy, piecie się na czubku głowy jak można najwyżej warkoczyk, na którym się wszystkie włosy zamocowują w ują. Tylne włosy tak powinny być luźno związane, żeby założyć między nie włosy od przodu, których końce mogą służyć jeszcze do ułożenia szynionu. Na ryc. 24 ułożenie to składa się z dwóch promieni skręconych odwróconych, i na czubku głowy przypiętych, z końców robią się jeszcze dwa małe pukle. Rycina 25 przedstawia wszystkie włosy luźno skręcone i w ślimak ułożone.



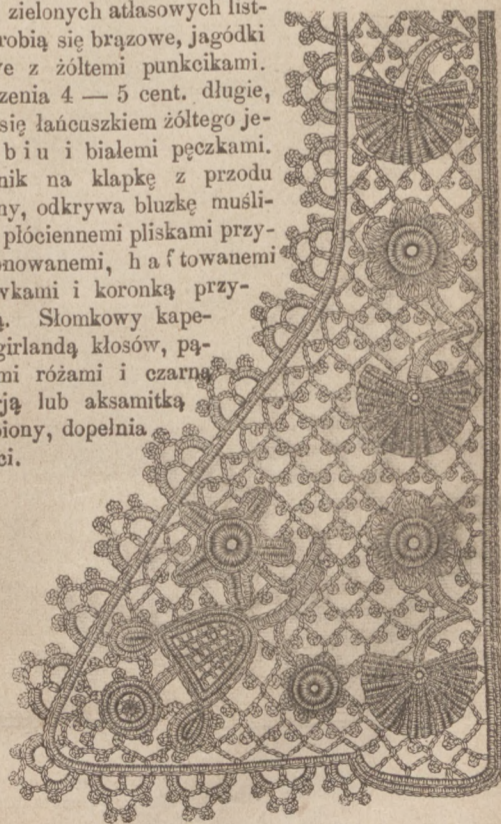
N. 19. Stojący kołnierzyk z żabotem. Koronka irlandzka.



N. 20. Mankiet do N. 19. Irlandzka koronka.

N. 26 — 27. Kaftanik z wyszcieniem.

Kaftanik czarny z cienkiego kaszmiru z szerokimi rękawami, prócz gipiury wąskiej brzeg otaczającej i pliski z atlasową wypustką, przybrany jest jeszcze kolorowo wyszytym szlaczkiem, ryc. 27 podaje szlaczek ten w naturalnej wielkości. Żyłki i korzonki zielonych atlasowych listków, robią się brązowe, jagódki pąsowe z żółtymi punkcikami. Połączenia 4 — 5 cent. długie, robią się łańcuszkiem żółtego jedwabiu i białymi pęczkami. Kaftanik na klapkę z przodu spinany, odkrywa bluzkę muslinową płóciennymi pliskami przystębnowanymi, haftowanymi wstawkami i koronką przybraną. Słomkowy kapelus z girlandą kłosów, pąsowemi różami i czarną materją lub aksamitką ozdobioną, dopełnia całości.



N. 17. Szydełkowy kołnierzyk. Irlandzka koronka.

N. 30. Torebka podróżna na pieniądze.

Torebka ta na papiery, brązową ceratą podszyta, robi się z popielatego materiału. Obie części po 21 cent. długie a po 14 szerokie, z jednej poprzecznej strony ścinają się na 3 cent. wysoką klapę kieszeniową. Proste boczne strony łączą się lamowaniem z brązowej ceraty; przez lamówkę tę z wewnętrznej i zewnętrznej strony, daje się taśma krzyżkami czarnymi przytwierdzona.

Do zapinania klapy służy kartonowa, ceratą powleczona klamerek z zapinką do wsuwania. Odpowiednia dziurka w w górnej części kieszonki



N. 24. Uczesanie głowy. dla bezpieczeństwa pokrywa się skórkowym guzikiem 2 cent. średnicy trzymającym.

N. 31. Ubranie z fartuszkiem dla młodych dziewczynek.

Kostium ten z popielatego perkalu z wyciętym staniczkiem, białą bluzką dopelnionym, ma spódniczkę frendzlą bawełnianą naszytą z plisowaną falbaną 12—15 cent. szeroką. Muslinowy fartuszek biały z kieszonkami i szelkami, ozdabia muslinem podłożony w tamborku wyszyty szlaczek, zakończony związającą się ku górze, 6 cent. szeroką plisowaną falbaną, z koronkową wstawką dwoma rzędami, aplikowanym szlaczkiem przytwierdzoną. Plisowanie na szelkach jest o wiele węższe. Przybranie rękawów bluzki odpowiada plisowanemu garnirunkowi fartuszka; riasza otaczająca wykrój



N. 28. Ubranie z torebką podróżną. Krój i opis na dodatku N. XIV Fig. 50—51.



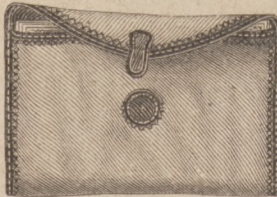
N. 26. Kaftanik wyszywany.



N. 27. Deseń na szlaczek do N. 26.



N. 29. Torba podróżna do ryc. 28. Otwarta. Opis na dodatku.



N. 30. Torebka podróżna na pieniądze.



N. 31. Ubranie domowe z fartuszkiem.

szyi przeciąga się na przodzie, do poprzecznej drabinki łączącej szelki.

WIADOMOŚCI GOSPODARSKIE.

Rada dla gospodyń.

Do konserwowania wloszczyzny na zimą, trzeba piasek w Sierpniu zgromadzić do piwnicy, ma on w tym miesiącu własność zachowania w świeżości jarzyn, gdy później tak jak każda ziemia traci odżywność.

S. O.



N. 25 Uczesanie głowy.

Korespondencja.

Pani Helenie Ko. Żądanej powieści w języku francuzkim niema w tu-tejszych księgarniach.

Dodatek do N. 26 i 27 Tygodnika Mód w Warszawie.

1870 roku.
Opis krojów.

Nr. I. Szlafrok damski ściągany sznur lub paskiem. Ryc. 23—24 w Tyg. Mód Nr. 26.

Fig. 1. Część górna (stanik).
Fig. 2. Przed (stanik i spódnica z naszacowaniem fałdów).
Fig. 3. Karzełek.
Fig. 4. Bok.
Fig. 5. Połowa pleców.

Ryciny 23—24 przedstawiają próbi i tył szlafrocka z odmiennymi garniturkami. Przy miarzeniu popielatym tle materiału, obłożenie w czarną i białą kratę, dołóż się wyście. Spółnica o szosciu brytach, ma dwa tylnie proste 112 cent. długość, z 68 cent. szerokości materiału przykrajane, bożna dwa niektóre szkiełki przy tleniu; na przedzie tery podobnie szkiełki, wystarcza szerokość materiału. Odświeżenie fałdów, strzałki podługaję i miara, objaśniają na fig. 2 podana górna część proda, przystanowiącego od H. do G. do karzełka (fig. 3) na podszewce. Część przodu pod spód wypadają wymaga przy brzozy karzełka, przystanowią materiał na obrzeż. Pod przodami niżej karzełka, przystanowią się podług list sznurówca (fig. 1, która się do szew stanu i ramienia przyszywa. Kropkowana linia na fig. 1 wskazuje miejsce, gdzie trafia zastrzygowad fałdy. Do bożnych szwów stanu, przypadać zupełnie powiny szwy bożnych brytów do tyłu; tylna bryta gęsto się uwarzona. Bieżka szerokości 5 cent. szerokość uwarzonego od B. do gwiazdy w przodach, obrzeżonych brytami od doła. Brzozy to można na risticń obłożone zamowad, lub przystanowią z małym sosporkiem do spinania na guziki. Rękaw palecoterwy, jednokolorowe rękawy i piaski w kratę 1 i 2 cent. szerokość z kolorowa wypustką ostatnie, ubierają stanik; dół rękawa naszywa się 5 cent. szerokość uwarzone. Ukos na spódnicy ryc. 23 ma 10—12 cent. szerokości. Fałdy przodów wolno wiszących przystanowią się sznurami i kwadratami, lub wkradki paskiem z materiału sukni. Kokarda z tyłu wskazuje rycia.

Nr. II. Pelerynka chusteczka do ubrania rannego. Ryc. 12—13 w Tygodniku Mód Nr. 27.

Fig. 6. Przed chusteczki.
Fig. 7. Połowa pleców chusteczki.
Pelerynka Leontie na przedach, pelerynka i pasach do uszy, drakowaty w szerokości, które można także w szwy różnokolorowym jedwabem w krakę gładkich materjałów. Przed stanika razem ze spódnicy okrągłe, zaszywa się jak przy „robe princesse”, ruzto formy przekroju traska, podług listka Nr. 1 ryc. 23—24 w Tyg. Mód Nr. 26. Przed zakładają się na wierzch, formuje rodzaj rozszerzonej na dółw kłapy szusteczki z guzikami przystanowią 3 cent. szerokości przy stanie, a 10 u doła. Rękaw z sosporkiem u doła i pelerynka przez tarciekiego ubrania szczyt się 5—6 cent. szerokość kaszmirową frondzi. Muslinowa pilsowana lub koronkowa rękaw i mankiety; odpowiednie czepek z kolorowami wstawami.

Nr. III. Muslinowa bluzka z szerokimi rękawami. Ryc. 1 w Tyg. Mód Nr. 26.

Fig. 8. Przed.
Fig. 9. Połowa pleców.
Fig. 10. Rękaw.
Fig. 11. Połowa oszywa rękawa.
Muslinowa szusteczka w 3 cent. szerokości fałdy akładana jednako z tyłu jak z przodu, szochi podługaję wyście kolorowami kokardami ubraną muslinową bluzkę. Fałdy te podług wskazówek na gładkiej bluzce przystanowią, otaczają się tylnymi wstawkami jętem i pół cent. szerokości, przystanowią na linjach na fig. 9 umieszczonych. Wzrywa ta spaja przody z plecami w ramionach. Brzozy wstawki danej w kolo fałdów, oszywa się muslinowa 4 i pół cent. szerokość fałbanki w 5 cent. szerokości, a 1 głębokie szwy wycina, konononką oszywa. U szty idzie takż sama, 2 cent. szerokości fałbanki. Przystanowią wstawki na muslinie płociszni piaskami, materiał wstawki z pod nich wycina. Przody opatrzone 2 cent. szerokości obrzeżami, na guziki spinanymi; obejmują się u doła wraz z plecami, 2 cent. szerokości paskiem muslinowym, do którego przystanowią modna karzełek naszywa 28 cent. długości, prosty szki muslinu. Rękawy fig. 10 i oszywa w rodzaju mankieta z piaski, wstawki i muslinowych fałbank przystanowią w 2-ch częściach od Q. do B. słęznymi maracze, się słęznymi canym obrzeżem na szerokość 27 centym. i oszywa z sobą podług znaków, przystanowią mankieta otwiera, oszywa fałbanki, na siebie zachodzić powinny. Przystanowią mankieta, polerywa piaski przystanowią muslinowa ruzsa.

Nr. IV. Staniczek na gorset irlandzka koronka oszyty. Ryc. 3—4 w Tyg. Mód Nr. 27.

Fig. 12. Przed.
Fig. 13. Bok.
Fig. 14. Połowa pleców.
Fig. 15. Rękaw.
Na fig. 12 i 14 podaliśmy linje wskazujące ukosny kierunek składok, stanowiących szusteczki garniturki stanika fig. 12—15 z cienkiego perka. Ubranie to na plecach ma szew przez środek przez co szkielki ukosne w obydwoi częściach, schodzą się w tył przy szwie. Przystanowią wstawki na przedach stanika dodają się dwa po 2 i pół cent. szerokości obrzeży. Ryc. 4 w Nr. 27 Tyg. Mód, przedstawia irlandzka koronka, przystanowią akantową ułożoną wykrej szty i rękawy, która łatwo przeszedź z rycia.

